№ 40. Warszawa, dnia 24 Września (6 Października) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

III.

Elżbieta Drużbacka.

Mniemane upośledzenie kobiet w dawnej Polsce.—Stanowisko kobiety u plemion aryjskich.—Wpływ chrześciaństwa. Przeważny wpływ kobiet u nas dawniej i teraz. — Praca i wykształcenie kobiet w dawnej Polsce. — Kobiety autorki. — Zofia Oleśnicka. — Elżbieta Drużbacka; jej biografia. — Stanowisko Drużbackiej w historyi literatury. — Zalety i wady jej poezyi. — Szczegółowy rozbiór i próbki pracy Drużbackiej.—Wiersze opisowe.—Wiersze światowe. — Elegie. — Wiersze religijne, moralne i alegoryczne. — Zamknięcie.

(Dalszy ciąg).

Wszelako wielką pokusą do tego, aby złożyć owo oświadczenie cudzoziemca na karb jego galanteryi jest ta okoliczność, że literatura polska, począwszy od epoki jej rozkwitu w wieku XVI aż do czasów stanisławowskich, wykazuje niezmiernie mało imion autorek. Najdawniejszą, o ile wiemy, jedyną autorką polską przed Drużbacką była Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały, która układała pieśni nabożne; jedna z tych pieśni doszła do naszych czasów, drukowana w Krakowie u Andrysowicza 1556 roku. Następnie, w ciągu dwóch wieków, w epoce najbujniejszego rozkwitu literatury, w zastępie licznych pisarzy wierszem i prozą, nie napotykamy ani jednego imienia kobiecego, ani w liczbie gwiazd pierwszorzędnych, ani pośród podrzędniejszych. Główną, jeśli nie jedyną tego przyczyną musiał być wkorzeniony obyczaj skromności, który nie dozwalał kobiecie występować publicznie ze swemi utworami: ograniczona do sfery życia domowego, rodzinnego, niewiasta polska nie śmiała próbować wystąpień na szerszej widowni działalności publicznej, literackiej. Nawet wzmiankowana pieśń Oleśnickiej wydaną była bezimiennie, ale w kształcie akrostychu, tak że tylko z początkowych liter tej pieśni doszliśmy nazwiska jej autorki.

Dawny obyczaj, dawne cnoty i dawny nieskażony język przechowują się najdłużej u ognisk domowych, a zatem między kobietami — stróżami tego ogniska. Tak bywa najczęściej, tak było i u nas. Elżbieta Drużbacka, pierwsza autorka polska szerszego rozgłosu, w pismach swoich wypowiada się przeciwko obczyźnie, a sama przechowała mowę polską w dziwnej stosunkowo czystości, w smutnej epoce upadku i panowania dziwacznej makaronicznej łacińsko polskiej mieszaniny. Z tych dwóch względów, szczególniej ta poetka na naszą uwagę i na uznanie zasługuje; a jeżeli do tego dodamy, że ona pierwsza przełamała lody owej skromności niewieściej pod względem publicznego występowania w literaturze i jeszcze za życia podała do druku swoje poezye, i nareszcie jeżeli zważymy, że dzieła Drużbackiej dobitnie potwierdzają to wszystko, cośmy powiedzieli o znacznem wykształceniu niewiast staropolskich, nawet w epoce najmniej temu sprzyjającej — cztery te powody będą usprawiedliwieniem naszego przedsięwzięcia: wskrzesić pamięć zapomnianej dziś autorki i jej utworów, spółczesnemu pokoleniu zupełnie nieznanych.

Wiadomości o życiu Drużbackiej są bardzo szczupłe. Z domu Kowalska, urodziła się około 1687 r. w województwie ruskiem, w okolicy Lwowa. Początkowe wychowanie otrzymała w domu rodzicielskim. Następnie, obyczajem ówczesnym szlachty mniej zamożnej, była oddana w dziecinnym jeszcze wieku, do fraucymeru pani Sieniawskiej, kasztelanowej krakowskiej. Tutaj zapewne uzupełniła swoje wykształcenie, przeważnie czytaniem najlepszych dzieł pisarzy zygmuntowskich, których językiem i stylem tak mocno się przejęła, jak świadczą lepsze ustępy jej utworów. Języków obcych prawdopodobnie nie znała, chociaż trudno przypuścić, ażeby francuzczyzna, tak wszechwładna już wówczas na dworach pańskich, była jej zupełnie obcą (*). Wielkie panie wydawały zwykle za mąż panny swojego fraucymeru należycie wyposażone: tak i pani Sieniawska wydała Elżbietę Kowalską za Drużbackiego, skarbnika żydaczewskiego — zapewne około r. 1710. Drużbaccy mieszkali w wiosce Rzemieniu nad Wisłoką w województwie sandomierskiem (**). Tu, w ustroni wiejskiej, Drużbacka swobodnie oddawała się pracom poetyckim, choć takowe układała jeszcze dawniej, za czasów panieńskich. Małżeństwo było bezdzietne i pan skarbnik bynajmniej nie przeszkadzał małżonce obcować z muzami. Utwory Drużbackiej krążyły w rękopiśmie czas długi, przepisywane, obyczajem wieku, do domowych i familijnych zbiorów wierszy, które wówczas prawie w każdym domu szlacheckim istniały. Nawet wysokie rodziny magnackie wypowiadały swe uznanie dla talentu Drużbackiej: tak np. książę Ulryk Radziwiłł, koniuszy w. ks. lit. sam mający pretensyą uchodzić za poetę, wystosował do Drużbackiej niesmaczny i ciężki komplement wierszowany, w którym nazywa poetkę muzą sarmacką i korzystając z nazwy jej wioski (Rzemień) bawi się w naciągane porównanie z kartagińską Dydoną i t. p. Na ten komplement Drużbacka odpowiedziała również wierszem, co prawda, tyleż prawie niesmacznym i wy-

(*) Prawie wszyscy historycy literatury utrzymują, że Drużbacka nie znała *żadnego* języka obcego, a więc także i francuzkiego, ale ogromne mnóstwo wyrazów francuzkich, napotykanych (jak o tem jeszcze niżej) w jej utworach każe przypuszczać, że po francuzku przynajmniej nieco umiała.

(**) U Rycharskiego Hist. Lit. Pols. I 276, błędnie „w wojew. ruskiem.“

szukanym, co i radziwiłłowski. Zaszczycały poetkę znajomością i łaską inne domy możne jak Sanguszkowie, marszałkostwo w. lit., Lubomirscy, starostwo bolimowscy, Jordanowa z Lubomirskich wojewodzicowa bracławska i t. d. Komplementa wierszowane, powinszowania i panegiryki Drużbackiej dla tych i innych możnych przyjaciół i protektorów, rodzaj poezyi, wówczas najbardziej ceniony, obecnie nie mają prawie żadnej poetyckiej wartości i są najsłabszemi z utworów poetki. Załuski, biskup krakowski, zachęcał Drużbacką do pisania i wydrukował po raz pierwszy jej utwory w „Zbiorze poetów polskich" wydanym w Warszawie 1752 r. Podźwignienie oświaty krajowej w ostatnich latach Augusta III i założenie biblioteki Załuskich, żywo interesowały naszą poetkę, jak o tem świadczą jej wiersze na cześć Augusta III i Załuskich. Po śmierci męża, zaszłej około r. 1740, Drużbacka zamieszkała w Tarnowie, w klasztorze bernardynek, a chociaż ślubów zakonnych nie wykonała, nosiła jednak sukienkę zakonną aż do śmierci (w takim stroju przedstawia ją wizerunek, dodany do wydania lipskiego jej utworów, wykonany z dawnego portretu familijnego). Umarła w r. 1760 licząc lat 73. Utwory jej miały dotychczas dwa tylko dopiero co wzmiankowane wydania: Załuskiego z r. 1752 i lipskie Bobrowicza 1837 — obydwa są już rzadkością biograficzną. Osobno, po śmierci autorki w jedynem dotychczas wydaniu wyszedł poemacik „Historya chrześciańska księżny Elefantyny dowcipnym przemysłem JPani Elżbiety Drużbackiej" (Poznań 1769). Ten utwór nie wszedł do wydania lipskiego Bobrowicza.

Drużbacka nie była bynajmniej poetką genialną. Nie napotykamy w jej utworach śmiałych polotów myśli, nowych dróg ani nowych olbrzymich kreacyi, któreby stanowiły epokę w rozwoju poezyi i przyczyniło się do popchnięcia jej na nowe płodne tory. Skromna jej muza lubuje się w opiewaniu powabów przyrody, życia wiejskiego i obyczajów staropolskich; wkracza niekiedy w dziedzinę biblijną, celując gorącą, lecz wolną od fanatyzmu i martwej bigoteryi pobożnością, niekiedy zacna dążność i poczciwe serce poetki prowadzą ją na drogę satyry. W tem wszystkiem trafia się czasem dużo przesady, nieco wymuszoności i konceptów naciąganych, niekiedy płaskich; moda literacka owych czasów odbija się i u Drużbackiej w nawale erudycyi mitologicznej i uczonych, czasem mało stosownych i nietrafnych, porównań i zestawień; często autorka widocznie walczy z trudnościami technicznemi budowy wiersza, tak, że niektóre zwroty i wyrażenia wypływają jedynie z potrzeby rymu, bez logicznego związku lub z uszczerbkiem naturalności. Pomimo tych wad, dają się jednak odnaleźć w poezyach Drużbackiej hojną ręką rozrzucone perły, prawdziwej, rodzimej poezyi, celujące prawdziwie kobiecem uczuciem staropolskiej matrony, jaśniejące prostotą, poprawnością i wdziękiem formy. W większej części znaczniejszych utworów Drużbackiej te zalety przeważają nad wzmiankowanemi wadami, w innych, zwłaszcza pomniejszych, jak wspomniane już wierszyki panegiryczne, Drużbacka okazuje się nieodrodną córką epoki zepsutego smaku. Tem większą więc jest jej zasługa, że bardzo często, jeżeli nie zawsze, zdołała otrząść się ze szkodliwych wpływów swojego czasu, tak że wielu ustępom z jej utworów dziś nawet mało co można zarzucić i najlepsi przedstawiciele poezyi spółczesnej chętnie podpisaliby pod niemi swoje nazwiska. Nie rozszerzając się więc zbytecznie o wadliwych płodach muzy Drużbackiej, poszukajmy tych, w których jaśnieją naszkicowane powyżej zalety.

Zaczniemy od poematów przeważnie opisowych. Wiele prostoty i wdzięku przedstawia poemacik p. n. „Opisanie czterech części roku." We wstępie tak oto poetka maluje potęgę bozką:

Powiedz, kto słońcu wschód ranny naznaczył,
kto czas wieczorny w zachodzie zamierzył,
kto księżyc pełny w części przeinaczył,
kto osiom mile gwiazdecznym wymierzył,
kto mleczną drogę, kto czystą jutrzenkę,
kto w świetną przybrał firmament sukienkę?
Kto w ślicznych cieniach malowaną wstęgę
kształtnie rozwinął, rozpostarł w obłoku,
kto w niej w potopie zawiązał przysięgę,
kto ją przymierzem *prezentuje* oku,
kto jej wodniste humory porusza —
spytać się o to trzeba ateusza.
Kto mgły w subtelnej przez sita wilgoci
przesiewać kazał, kto kropliste rosy
podzielił w *grana*, jak słodkie łakoci;
wszak te obiedwie z jednej płyną *fosy*.
Kto im dał różność, choć się razem rodzą,
rosy ożywią, mgły często zaszkodzą.
Kto na powietrzu podstęplował chmury
w grubych bałwanach, pełnych dżdżu i śniegu,
kto z lodów twarde ukował marmury,
kto bystrym rzekom kurs tamuje w biegu,
kto z jednej matnie deszcz wraz z śniegiem sypie—
pytam się ciebie, mądry Arystypie.

Następnie, z silną domieszką biblijnej i klasycznej erudycyi, poetka gromi pogląd ateuszów:

Rzeczesz bluźnierco, że natura sama
i ziemia matką wszelkich rzeczy zgoła;
że ta zrodziła Ewę i Adama.
Przeklętyś w zdaniu, bez wstydu, bez czoła.
Pokaż autora, zkąd natura wyszła,
za czyją wolą i rozkazem przyszła.

Dalej już nawet autorka przebiera miarę, mocnemi słowy łżąc bezbożników:

niebrak tam „piekielnych waporów, siarki, smoły, dziegciu
[i fetorów."

O sobie i zakresie swego zadania tam mówi skromnie poetka:

Ja w równość z żadnym uczonym nie wchodzę;
bojąc się porwać na słońce z motyką;
po nizkiej ziemi, nie po niebie chodzę,
ni się pochwalić z tą mogę praktyką,
żebym widziała, czego dowcip chciwy
z astrologicznej dojrzy perspektywy.
Dosyć tu będzie na mój rozum podły,
nie potrafiwszy gwiazd na niebie zliczyć,
przynajmniej w lesie dęby, sosny, jodły
rachować, w tej się artmetyce ćwiczyć;
a co na ziemi Bóg dał widzieć oku,
chwalić Go będę w czterech porach roku.

(*d. c. n.*)

Epistola do Florencyi.

dla T. L.

I znów pracujesz dla Boga i ludzi,
Znów wyrzeźbiłeś kielich święty, srebrny,
W obec którego we Włoszech się budzi,
Zachwyt...
Ten kielich światu jest potrzebny,
Dla jednych niechaj on w sobie wciąż mieści,
Nektar — ów który ukaja boleści,
Lecz gdyby kiedy potępieńca usta,
Dotknęły kielich, niech go struje jadem,
Co szalonego gna w łoże Prokusta.
Dzięki, żeś taki dobry jest dla ludzi,
Bracie nad Arno, z Mazowieckich piasków,
Nie ślę Ci echa kłamliwych oklasków...
Gdybym mógł ptasze schwycić zabłąkane,
Ztamtąd gdzie żyjesz! tobym je kochane
Tak ucałował, tak pieścił i potem,
Piosnkę tę oddał na łańcuszku złotym,
By przyleciała pod twoje okienko.
Śpiewając lecę z tą skromną piosenką,
Która, choć smutną dziś taka jej nuta,
Woła: nie gardź mną, jam z serca wysnuta...

Miron.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

2 Maja.

Zobaczę więc stary mój dom rodzinny. Niemen płynący u stóp ogrodu, moje kochane lasy z zapachem sosen i strumieniami szemrzącemi w wilgotnych nizinach. Powitam siwe głowy starych sług mojej rodziny. Zgrzybiała Prakseda wyjdzie o kiju aby spotkać mię przed progiem swej chaty. Dzieci napełniają dom wybuchami śmiechu tak cieszą się z tego że pojadą na wieś. Ojciec im to powiedział. Ja mało z niemi rozmawiam teraz to też Franuś mniej znowu mówi i trudniej pojmuje. W oczach tego najbiedniejszego z dzieci moich, kiedy patrzy ono na mnie, tkwi dziwny jakiś smutek. Czyżby upośledzone dziecię rozumiało lub czuło że odwróciła się odeń ta, która z upośledzenia wydźwigała go zwolna i wydźwignąć przyrzekła. Natalka za to mówi mi wciąż o Porzewinie. Słyszała kiedyś że miejsce to dla niej przeznaczają rodzice. Zapytuje mię ciągle, co trzeba wiedzieć i czynić aby być rozumną właścicielką i dobrą gospodynią wiejskiej posiadłości. Przypomina mi że miałam wziąść ze sobą na wieś różne gospodarskie i ogrodnicze książki i że miałyśmy z nią razem, urządzać tam wiele dobrych i pięknych rzeczy... W istocie, wiele tam zapewne jest do uczynienia.

Dobrzeby też było zaznajamiać zwolna dzieci z innemi społecznemi sferami niż te śród których żyły one dotąd. Może dałaby się założyć i szkółka dla chrześciańskiej dziatwy. Wiem że to trudno ale przy staraniach i stosunkach Michała... Znowu ktoś wstępował na wschody... myślałam... zawiodłam się... O! jak to wszystko targa mi serce!

3 Maja.

Dziedzictwo matki mojej czuję w mojej piersi. Boli ono i szaleje we mnie. Ale gdzież jest dziedzictwo ojca mego? Gdzie są wiadomości te i wysokie miłości które on pierwszy wlał w głowę i piersi moje? Mająż one przepaść a raczej mamże ja je zmarnować?

4 Maja.

Nie; ja nie mogę ztąd odjechać! On myślałby może iż umyślnie kładnę przestrzeń pomiędzy nim i sobą i że nie chcę go więcej widzieć. Jednak jechać muszę. Wiem co uczynię! Pojadę na jeden dzień tylko i zaraz wrócę. Ale i w tym jednym dniu on może przyjść i mnie tu nie znaleźć. Gdybym mogła oznajmić mu o tem że wyjeżdżam na krótko, na jeden dzień i zaraz wrócę. Od tego dnia jak go widziałam krótką chwilkę, razem z Michałem, nie przyszedł ani razu. Tak jednak być nie może

abyśmy się już nigdy... Nie, to w żaden sposób być nie może. Napiszę do niego żeby przyszedł. Muszę widzieć go przed odjazdem. Dziwną radość czuję w tej chwili. Przyjdzie z pewnością gdy wezwę go, nieprawdaż?

Marya.

LIST XXIV.

Adam do Jerzego.

Ongród, 5 Maja.

Nie, Jerzy, ja ztąd nie odjadę. Podziękuj czcigodnemu Nestorowi nauki naszej za dobre jego dla mnie intencye, nazwij mię przed nim dziwakiem i mizantropem a przed sobą szaleńcem ale ja nie odjadę ztąd wprzódy, aż rozwiązaną zostanie paląca zagadka w którą wplątało się moje życie.

Piszesz mi, Jerzy, o obowiązku i o namiętności. A więc tak. Trzeba raz nazwać rzecz po imieniu. Ja kocham tę kobietę którą tak niespodziewanie spotkałem na drodze mojej, w chwili może gdy najwięcej potrzebowałem pierwiastku rozgrzewającego i odmładzającego życie twardo i surowo pojęte, kocham ją z wezbraniem sił takiem jakiego możliwości w sobie nie podejrzywałem przedtem.

Czem jest miłość ta? Marzeniem sennem z którego lada chwilę obudzi mię rzeczywistość? Płomieniem który przesunie się szybko po tle chłodnych dni moich i zgaśnie, zostawiając po sobie ognisty szlak we wspomnieniach i niezgojoną bliznę w sercu? Zboczeniem nagłem z prostej i prawej drogi albo zapomnieniem o wielu rzeczach. o których niegdyś myślałem że są podstawowemi zasadami moralnej istoty mojej? Czemkolwiekby była i cokolwiekby mi niosła, rozstać się z nią nie mogę nawet przez pamięć iż złamie ona może niejedno z tego com zawsze uznawał za święte i nienaruszalne, nawet za cenę tej bogatej w zasługę, sławę i wdzięczną pracę perspektywy, którą postawiłeś mi przed oczami. Trudno jest bardzo zmierzyć siły własne. Człowiek słabszym jest albo silniejszym niekiedy niż sam o tem mniema.

Rozstając się z Maryą parę tygodni temu, mówiłem sobie: pójdę tam codzień, zawsze gdy będę mógł! Nie poszedłem jednak długo. Nawyknienie panowania nad sobą wyćwiczyło moją wolę. Raz tylko widziałem ją przez chwilę. Dzień był słoneczny a ogród jej, przez otwartą furtkę, wyglądał jak zielony raj wiosny. Długo, poranka tego siedziałem z czołem ścieśnionem obu dłońmi. Długo potem wzywałem sobie na pomoc surową strażniczkę przeszłości mojej: pracę. Na piersi mojej leżał wciąż ciężar gniotący i nieznośny, czoło miałem opasane bolącą obręczą. Poszedłem.

Spotkałem w ogrodzie Maryą z jej mężem. Miała na twarzy żywe rumieńce i oczy w ogniu. Ręka jej którą wspierała na ramieniu dozgonnego towarzysza drżała trochę. Zkąd jej przyszło wzruszenie te w chwili spokojnej i wzorowej przechadzki po ogrodzie z małżonkiem? A! któż odgadnąć może tajemnice chwil które małżonkowie spędzają sam na sam, w cienistych ulicach rozkwitłego ogrodu? Wszak oni należą do siebie! A czemużby ona nie miała pokochać z czasem człowieka tego, którego koniec końców szanować można i który pada przed nią czołem jak uwielbiający Fakir przed swem bóstwem?

Co wtedy działo się we mnie odgadniesz. Odszedłem z odnowionem postanowieniem wrócenia nieprędko. Po cóż mam dobrowolnie iść naprzeciw widoków które jadem nieznanej przedtem goryczy gryzą mi serce?

Dziś zrana otrzymałem od niej bilecik, krótkie kilka słów któremi prosiła mię abym dom jej odwiedził. Pomyślałem sobie iż ktoś tam zapewne w domu tym ludnym i troskliwie strzeżonym potrzebuje lekarza. Myślałem także iż dziwna to trochę rzecz, że kobieta z tak rozważnym i bystrym rozumem, nie spostrzegła dotąd iż lepiej byłoby dla mnie abym ją był nigdy w życiu mojem nie spotkał. Jestże to ślepota chłodnej wyobraźni i kryształowo spokojnych zmysłów? Być może zresztą iż żałuje przyjaźni która przez czas jakiś łączyła nas z sobą i chciałaby stosunek ten odnowić. Jest to zupełnie niepodobnem z mej strony. Umysł mój czerpał ze stosunku z jej umysłem wiele ciepła i światła, ależ ludzie nie są czystemi duchami... Powinnaby być doprawdy doświadczeńszą i wszechstronniejszą w swej znajomości ludzi, którą przecież zkądinąd posiada w stopniu niepospolitym.

Gdy wchodziłem do jej mieszkania, uderzyła mię panująca w domu cisza niezwykła. W pierwszym zaraz pokoju zobaczyłem Franusia samotnie siedzącego nad książką. Pierwszy raz widziałem dziecię to w takiem od matki jego oddaleniu. Nigdzie nie słychać było tych śmiechów i rozmów które dawniej dom napełniały. Rośliny zdobiące salon bawialny miały pozór przywiędły. Wśród nich z książką w ręku siedziała Natalka. Wstała na powitanie moje i oznajmiła że matka jej znajduje się w swojej pracowni. Zamieniając z nią słów kilka spostrzegłem że wesoła dawniej dziewczynka smutne miała oczy. Zapytałem ją czy matka jej nie jest słabą.

— Nie, odpowiedziała i nagle dodała. Nie wiem, mateczka bardzo jest w tych dniach zmienioną... Tak mało rozmawia z nami i taka blada...

Łzy zakręciły się w jej oczach. Pojąłem że coś niezwykłego działo się w tym domu, panowała nieokreślona jakaś atmosfera, jakby przedchwili nieszczęścia. Przez nawpółotwarte drzwi zobaczyłem Maryą w głębi wykwintnej jej pracowni. We wpółleżącej postawie wpatrywała się w wiszący naprzeciw portret, o którym wiedziałem że jest portretem jej matki. We wzroku jej nie było przecież tęsknoty z jaką ludzie dojrzali nawet, wpatrują się niekiedy w malowane oblicza rodziców ukochanych a zmarłych. Głęboko zapadłe jej oczy miały wyraz bezdennej zadumy, pełnej zapytań albo wyrzutów. Świecił w nich blask przenikliwy i bolesny. Blade usta jej, wpółotwarte zdawały się z trudnością wciągać powietrze do uciśniętej piersi. Ręce jej ściśnięte z kurczową siłą leżały bezwładnie pośród fałd sukni. Jerzy! kobieta ta w chwili owej cierpiała strasznie! Miałem przed sobą obraz jakiejś rozdzierającej walki która toczyła się w jej piersi... Coś jakby objawienie mignęło mi przed oczami. Przestałem być panem siebie. Zbliżyłem się szybko i chwila jeszcze a byłbym porwał w ręce swe te zaciśnięte od bólu dłonie i powiedział jej wszystko... wszystko... Ale, usłyszała moje kroki i porwała się z siedzenia. Z ust jej wyszedł słaby okrzyk, w szeroko otwartych oczach jej które przez mgnienie oka tonęły w mej twarzy, zadrżało morze zmieszanych uczuć, potem zaraz wyprostowała kibić, spuściła powieki i milcząc wyciągnęła do mnie rękę... Jerzy, ja rękę tę uścisnąłem silnie ale milczałem i nie śmiałem nawet zbyt długiem wejrzeniem badać na twarzy jej tajemnic jej serca... Kobieta ta jest dla mnie świętością, ubliżenia której lękałbym się więcej niż wiecznego z nią rozstania. Myślałem zawsze iż miłosne słowa szeptane do ucha samotnej kobiecie w ciszy zaciemnionego pokoju, niosą jej ubliżenie ilekroć treści ich powtórzyć i dowieść nie można w obliczu całego świata, że chwila słabości kobiety powinna być dla mężczyzny chwilą siły, ilekroć nie jest on pewien że szczęście które jej przynosi, nie będzie opłakanem przez nią łzami wstydu i żalu. Myślałem tak zawsze i doświadczyłem teraz że najszaleńsze nawet uniesienie namiętności, nie pozwala zapomnieć zupełnie o przekonaniach i instynktach wyrobionych przez długie lata...

Ona także ma długoletnie przyzwyczajenia myśli i woli. Głos jej drżał trochę ale postawa i twarz były spokojne gdy mówiła o tem, że wezwała mię dla tego aby oznajmić mi że wioska jej rodzinna została całkiem dla niej odzyskaną i że za dni kilka uda się tam z całą rodziną swoją.

Zapytałem ją czy na długo odjedzie. Uczyniła takie poruszenie jakby chciała mi dać prędką jakąś porywczą odpowiedź, ale potem z zamyśleniem powiedziała że nie wie jak długo zabawi na wsi. Chciałaby wrócić jaknajprędzej ale dla zdrowia dzieci powinnaby tam czas dłuższy przepędzić, tak dawno zresztą nie widziała miejsca tego które jest jej drogiem i tyle tam pewno będzie miała do czynienia. Stopniowo ożywiała się ale nie było to ożywienie pogodne, pełne harmonii słów i poruszeń które cechowało ją dawniej. Na blade policzki jej wybijały się co chwilę rumieńce i wnet znikały, oczy jej połyskiwały migotliwym ogniem i gasnąc nagle powlekały się mgłą wilgotną. Ruchy jej były chwilami nagłe i ostre, mówiła prędko i trochę bezładnie, jak ktoś komu uzbierało się w głowie mnóstwo rzeczy do powiedzenia i kto je wypowiedzieć pragnie szybko, lękając się że mu czasu zabraknie. Pokazywała mi książki jakieś świeżo jej przysłane mówiąc że chciałaby część ich ze mną przeczytać, zawołała Franusia i powiedziała niezrozumiałym dla niego językiem, że niepokoi ją dziecię to od czasu pewnego, zastojem który nagle objawił się w rozwijaniu się jego władz umysłowych, potem ukazała mi przez okno ogród i opowiadała o prześlicznej grze światła, którą spostrzegła wczoraj w pewnem jego miejscu, gdy słońce spuściło się za dachy, wierzchołki drzew stanęły w różowej łunie a niskie krzewy ze swem bogactwem białych i czerwonych kwiatów, zdawały się usypiać w roju złotych iskier. Chwilami porywało ją poetyczne jakby uniesienie, to znowu wracała myślą do rodzinnych i domowych obowiązków swych i zatrudnień. Spostrzegłem na stole jej kartkę papieru zapisaną jej pismem i prosiłem o pozwolenie przeczytania; zabrałem ją potem ze sobą. Jest to strofa przetłomaczona z obcego poety.

„Struny głuche, żałośne, czy w was pozostała
Jeszcze pieśń, która kiedyś pierś mą napełniała
Szalonem wrzeniem,
Pieśń która u Aniołów niebiańską radością,
U Szatanów zwie się piekielnem cierpieniem,
U ludzi miłością!

Mówiła chwilę o poezyach których urywek przetłomaczony przez nią czytałem, potem zaczęła mówić z żalem o trudnościach i przeszkodach jakie stawią jej pewne urządzenia miejscowe w przedsięwzięciach których dokonać pragnęłaby tam na wsi. Chciałaby bliższemi niż to bywa zwykle węzłami połączyć dwór z okoliczną ludnością wiejską, założyć szkołę elementarnych nauk i wiejskiego gospodarstwa. Możeby to przyniosło miejscowy tylko użytek albo też i posłużyło za przykład innym...

Przez cały czas nieustającej wciąż choć dziwnie a przedmiotami różnemi igrającej rozmowy, przypatrywałem się jej bacznie. Z przyzwyczajenia, z troskliwości też o nią spojrzałem na nią okiem lekarza i odkryłem gwałtownie zaszły szwank w tym zdrowym i kwitnącym wprzódy organizmie kobiecym. Stan, w którym znajduje się ona teraz, jest rozstrojem a zarazem nienormalnem całkiem wyprężeniem nerwów. U ludzi podległych stanowi takiemu zdwaja się wrażliwość wszystkich zmysłów. Wzrok ich bystrzej spostrzega wszystko i łatwiej upaja się ulubionemi widokami, słuch zaostrza się w sposób taki że dźwięk albo szmer niedosłyszalny innym, sprawia im wzruszenie przykre albo miłe, każde

dotknienie wstrząsnąć może całą ich istotę bólem albo rozkoszą, myśl ich rozpryska się na tysiączne odłamy które odpowiednio do natury i bogactwa umysłu skrzą się blaskiem dyamentów albo bujają po przestrzeni szare i nikłe, nakształt atomów pyłu. Jej myśli rozproszone i czepiające się wszystkich punktów szerokiego widnokręgu jej umysłu, ulatywały na zewnątrz słowami wymowy brylantowej, poetycznej, rzewnym żalem niekiedy albo też mrożącym chłodem szyderstwa przejętej. Źrenice jej których szafirowa barwa pociemniała i mieniła się złotem, miewały chwilami wyraz upojenia to znowu posępnej zadumy. Kiedy stała przy oknie, róża kwitnąca w wazonie musnęła jej czoło. Na to miękkie dotknięcie wzdrygnęła się cała i ognisty szkarłat oblał jej twarz i czoło...

Nie mogłem dłużej być z nią i patrzeć na nią i milczeć. Czułem że ogarnia mię całego drżenie nieposkromione, że jeszcze chwila a zawołam do niej gwałtownem pytaniem: czy ty przezemnie tak cierpisz? Czy ty pomiędzy miłością dla mnie a wiernością dla swych ideałów tak strasznie walczysz? Czy chcesz oprzeć się na mojej piersi i pobladłe usta swe u moich ust uspokoić? Czy zgodzisz się abym cię porwał ztąd i uniósł ze sobą tam, gdzie zawsze już będziemy razem?

Kiedyś, napisałeś mi, Jerzy, że jedno jej szczere słowo wyrzeczone do człowieka który ją posiada, może zwrócić jej wolność. Wiadomość ta daje mi jedyną nadzieję. Ani ona ani ja nie należymy do rzędu ludzi którzy szczęścia swego szukać mogą w potajemnej miłostce. Żadne z nas, umierając z pragnienia, nie przyjęłoby kropli wody za cenę hańby i kłamstwa. My, kochać się możemy tylko w obliczu słońca i świata, otwarcie i śmiało.

Ale — zkąd mi pewność że domysły moje są prawdziwemi, że ja to wniosłem w życie jej tę burzę i te cierpienie?

Nie zdobywałem nigdy serc kobiecych, Jerzy, żyłem zawsze zdala od świata wrażeń i namiętności. Nie mam zuchwałej pewności siebie która z najlżejszych poszlak odgaduje zwycięztwo; ani doświadczenia które kieruje innych wśród labiryntów tajonych uczuć. Gdybym je miał, gdybym z pewnością wiedział! Wtedy rozstrzygnęłaby się w ten lub inny sposób zagadka która nagle splątała mi nić życia, wtedy byłbym szczęśliwym albo zrozpaczonym ale miałbym postanowienie jakieś, stałą wiedzę najbliższej przynajmniej przyszłości.

Teraz, wszystkie myśli moje skupiły się na jednym znaku zapytania, wszystkie pragnienia moje, cała siła mej woli, wszystkie rojenia mej wyobraźni, krążą około tej jednej postaci kobiecej, która stała się dla mnie jedynym wydatnym punktem otaczającego widnokręgu. Wszystko co nie jest nią, jest dla mnie teraz mgłą, próżnią, nudą...

Widzisz więc sam, że na świetne w istocie przedstawienie, któreś mi przesłał w swym liście odpowiedzieć nie mogę, jak: nie! ja ztąd nie odjadę! Kiedyś... może... ale teraz... o! za żadną chwałę i za żadne dostojeństwo i za żadną zasługę i... dla żadnego nawet obowiązku...

Adam.

LIST XXV.

Jerzy do Adama.

Warszawa, 10 Maja.

Nie spełniłem twego życzenia, Adamie, i nie zaniosłem odmowy twojej profesorowi Ch. Mamy jeszcze trochę czasu przed sobą a kto wie, co się niekiedy przez jeden dzień stać może?

Mam biedę w domu. Klemensia moja tak wesoła i żywa zawsze, że ją za to iskierką przezwałem, od jakiegoś czasu dostawać zaczęła napadów czarnej melancholii. Wracając od zajęć znajduję ją często smutną i milczącą. Wczoraj nakoniec kiedy zamknięty w gabinecie moim pisałem w najlepsze, weszła, usiadła naprzeciw mnie i zaczęła po prostu płakać. Sceny podobne nie są bynajmniej w jej zwyczaju. Bardzo rzadko wchodzi ona do pokoju mego gdy jestem zajęty a jeżeli i wejdzie tam kiedy, to zawsze cicho i ostróżnie ażeby nie przeszkodzić mi w pracy.

Naturalnie, wypadek tak niezwykły jak płacz wesołej zawsze żony mojej, wytrącił mi pióro z ręki. Zaczęła się jedna z tych rozmów, w których zapytaniom mężczyzny: co to? dlaczego? co się stało? odpowiadają łkania i łzy kobiety. Z trudnością dobiłem się odpowiedzi wyraźniejszej ale dobiłem się. Rzecz szła o Maryą Iwicką, której dwa ostatnie listy Klemensia trzymała i mięła w dłoniach.

— Mój Jerzy, zaczęła uspokoiwszy się nieco, ja nie mogę już sama znosić tego... ty musisz poradzić mi co mam do niej napisać, jaką dać jej radę... czy może pojechać do niej? Pisać do niej w ostatnich czasach nie potrafiłam i milczeć dłużej nie mogę. A ona tymczasem tak cierpi i kto wie? na co się zdecyduje, co ją czeka? Powiedz mi co mogę i powinnam dla niej uczynić?

Zrozumiałem iż rzecz jest w istocie wagi wielkiej i że łzy mojej Klemensi lały się nie nad błahym przedmiotem. Naradzaliśmy się długo a po naradzie tej i po długiej rozwadze ostateczne powziąłem postanowienie, aby powiedzieć ci Adamie: jesteś kochanym!

Tak, trzeba abyś wiedział prawdę i postąpił stosownie do tego jak ci wiadomość o tem, połączona z wielu innemi wiadomościami innostronnemi które sam powiadasz, postąpić rozkaże. Dla ludzi prawych nie ma nic bardziej dręczącego jak położenie fałszywe. Oboje znajdujecie się w fałszywem położeniu i jakkolwiek rozwiązalibyście zagadkę waszych losów, mniej zawsze cierpieć będziecie niż teraz. Ale widzę tu coś ważniejszego niż największe choćby cierpienie dwojga ludzi. Długo trwające targania i walki namiętności zużywają siły, przegryzają w człowieku nerw życia, uczynić go mogą słabym i nieszczęśliwym na całą przyszłość. Gdybyś dłużej wątpił i wahał się, dłużej zostawałbyś w mocy płomienia tego, który zwęglił nie jedną już piękną inteligencyą i skruszył nie jedno pożyteczne istnienie. To samo stosuje się i do Maryi. Ona tylko odgadła cię i wie wszystko. Wybierać więc może i postanawiać. Ty także wiedz, miej stały grunt pod nogami, oczy wolne od mgły niepewności, wybieraj i stanów o swych uczuciach i czynach. Ja cóż ci powiem?

Bocianem ani kaznodzieją nie stworzyły mię nieba. Żaden z popularnych aksyomatów moralności nie nasuwa mi się pod pióro. Skoro jednak gram w tej historyi twojej rolę jakąś, pozwól abym obok słów które przesyłam ci po dojrzałej rozwadze: jesteś kochanym! umieścił kilka uwag nie mających styczności z żadnemi dotąd istniejącemi kodeksami ale które kiedyś może znajdą się w jakim spisie prawd odkrytych w naturze jednostek i społeczeństw.

Naprzód mój Adamie, zdaje mi się że ludzi dzielić można na dwie kategorye: takich którzy opatrzeni w charaktery miękkie i samolubne zdolni są tylko do wymagania i przyjmowania szczęścia od innych, i takich którzy bogaci w zasoby uczuć, rozumu i woli, najwyższe szczęście swe znajdują nie w uszczęśliwianiu się lecz w uszczęśliwianiu. Czy można zaręczyć, że dla kobiety należącej niewątpliwie do drugiej z tych kategoryi, wraz z widokiem sprawionego przez nią nieszczęścia, nie zniknie na zawsze zdrój radości życia a może i samego życia na gruzach je wiary?

Następnie: czy myślisz Adamie, że jedyną spójnią rodzin jest miłość pojęta w znaczeniu najpospolitszem? Ja myślę inaczej. Myślę nawet że bezwzględnie ważna dla ludzkości idea rodziny chwieje się i rozkładowi ulegać zaczyna dla tego właśnie, iż opieraną bywa na tym jedynym żywiole z absolutnem pominięciem wszystkich innych. Gdyby to życie było poematem, jak mówi poeta, gdyby ludzkość składała się z par oddzielnie żyjących i nic wzajem nie mających ze sobą do czynienia, na miłości oprzećby się mogły i wierność małżeńska i szczęśliwość rodzin. Ale wśród olbrzymiej komplikacyi losów i stosunków ludzkich komplikują się ogromnie wątki wszystkich dzieł przez ludzi tworzonych. Życie małżeństw i rodzin nie jest idyllą snutą na pustelni. Czy można więc sumiennie i rozsądnie powiedzieć że gdzie małżonkowie nie pałają względem siebie ogniem namiętnych uczuć tam rodzina złą być musi i rozpaść się jej wolno? Zapytałbym na to: a czy z wyjątkiem namiętnych ogni, istnieją tam inne ciepłe i ciągłe światła: szacunek, przyjaźń, ufność, wspólna praca i wspólne poważne patrzanie w przyszłość? Jeżeli istnieją, rodzina ta jest dobrą i ostać się powinna... resztę dośpiewaj sobie Adamie we własnym rozumie i we własnem swem takiem czystem dotąd sumieniu.

Jeszcze jedno: czy prawdą jest że ludzie łamią się i umierają fizycznie i moralnie z niezaspokojonych tęsknot i żądz miłości? Są tacy którzy pytaniu temu dają odpowiedź aż nadto śpiesznie twierdzącą i inni którzy zbyt zuchwale mu przeczą. Ja zaś powiedziałbym że i tak i nie.

Tu także są dwie kategorye. Do której z nich należycie ty i Marya, osądź sam.

Jerzy.

(d. c. n.)

KIANA.

Obrazek z wysp Sandwichskich

p. C. de Marigny.

I.

Podróżowaliśmy dzień cały; gorąco było okropne, dopiekało nam prawdziwie zwrotnikowe słońce. Z Honolulu, stolicy wysp archipelagu Sandwichskiego, dwumasztowym statkiem dostałem się do Kawajhaé, a ztamtąd na wielką wyspę Hawaj, skąd tego jeszcze dnia miałem dojechać do fermy Ewa, leżącej o piętnaście mil dalej: oczekiwał tam na mnie przyjaciel mój Frank, syn właściciela tejże fermy.

Przez sześć godzin trzeba się było przedzierać przez skaliste pasmo gór oddzielających Kawajhaé od wyniosłych płaskowzgórz wnętrza wyspy, zanim nareszcie spostrzegłem piękną, zieloną równinę poprzerzynaną strumieniami szemrzącemi wśród umajonych wybrzeży i zakończoną niebotycznym lasem. Tu czekali na mnie przewodnicy przysłani przez Franka i świeże wierzchowce dla mnie i mego służącego; wypocząwszy, w dalszą puściłem się drogę i w parę godzin jazdy galopem, stanęliśmy na skraju lasu. Las ten piętrzył się jak okiem dojrzeć na pochyłościach Mauna-Loa, tej olbrzymiej góry której stromy szczyt zdawał się sięgać obłoków. Śniegiem pokryty wierzchołek lśnił od promieni słońca jakby osypany dyamentami; na ostrych kantach wieszały

się mleczno-białe, zupełnie jakby wystrzępione obłoki.

Niepodobna wyrazić słowami czarodziejskiego uroku jaki wywierają na wędrowca dziewicze lasy Oceanii. Przed nami roztaczała się zaledwie zarysowana ścieżka; na prawo i na lewo powikłane z sobą pnącze przerzucały się z drzewa na drzewo, obejmując pnie, czepiając się gałęzi lub też opuszczając w fantastyczne festony, których wąsy czatowały na liście i gałązki, chwytając które tylko dosięgnąć mogły. Po nad głowami naszemi roztaczało się zielone sklepienie przez które przedzierały się niekiedy jasne promienie słoneczne, świetlane zygzaki rysując na ścieżce. Ogromne pandanusy (pochutniki) uderzając jeden o drugi swemi gałązkami dziwny szmer wydawały, a wielkie ich owoce upajającą woń wydawały. Wielkie drzewa cytrynowe i pomarańczowe, całe pokryte były swemi pachnącemi kwiatami. Hassy których kwiaty rano są białe, w południe żółte a wieczorem czerwone, na drugi dzień zaś więdną i znów tysiącami innych bywają zastąpione, mieszając się z kwiatami barwinku i kokornaków (aristolochije) różnobarwną tworzyły mozajkę. Ścieżka wiła się w różne zagięcia; jechałem wolno, rozkoszując się niezliczonemi pięknościami prześlicznego krajobrazu. Tylko lekki szelęst skrzydeł spłoszonych ptaków i cichy ich świergot przerywał uroczyste milczenie tych olbrzymich wspaniałych lasów, tak pięknych jak zaraz po dniu stworzenia.

Nareszcie wyjechaliśmy z lasu: płoty i ogrodzenia urządzone po prostu z pni ściętych drzew, znamionowały że pomieszkanie już nie daleko być musi; jakoż niebawem stanęliśmy u wrót fermy Ewa.

Ferma ta, wzniesiona wśród lasu, otoczona była szańcem zieleni, jakby uściskiem obejmującym ją do koła. Ostatnie promienie słońca oświetlały nagromadzenie budowli, ugrupowanych w około głównego mieszkania, dość dziwnie wyglądającego z wejrzenia. Był to wielki czworokątny budynek postawiony z drzewa zwanego koa; podobne ono jest ze słoju i z koloru do mahoniu, tylko znacznie ciemniejsze. Ściany były gładkie i jakby werniksowane na zewnątrz, dach takiż sam, co wszystko razem żywo odbijało od blado-niebieskiego nieba. Szeroka werenda zajmowała całą fasadę: przed domem roztaczały się piękne klomby kwiatów, a od drogi oddzielał ten dom nie zbyt wysoki mur z kamieni. Wzdłuż muru, w pewnych odległościach, od strony zewnętrznej, powbijane były pale z drzewa koa, a do nich poprzytwierdzano żelazne obręcze. Ze dwadzieścia osiodłanych koni, lassem przywiązanych do obręczy, oczekiwało niecierpliwie aby kanakowie oswobodzili ich od ciężkich siodeł meksykańskich, i puścili na bujną trawę którą już rozkoszowali się ich towarzysze.

W fermie oczekiwano na nas; to też jak tylko dano znać o naszem przybyciu, pan domu wyszedł mnie powitać. Był to sędziwy starzec pochylony laty; chodzi z trudnością, ale w oczach dużo jeszcze zachowało się życia; rysy twarzy były regularne, czoło wysokie uwieńczone siwemi włosami. Szedł powoli wsparty na ramieniu syna; Frank był młody, piękny, wysoki; w oczach jego przebijał się smutek obok męzkiej odwagi i dzielności. Przyjęli mnie bardzo serdecznie i zaraz zaprowadzili do przeznaczonego mi pokoju.

Gospodarz mój był jednym z najbogatszych właścicieli archipelagu, to też wszystko do koła zdradzało dostatek i zamożność. Posiadał przeszło pięćdziesiąt rosłych, pięknie utrzymanych koni; liczna służba kanacka uwijała się na wszystkie strony, już to pracując w fermie, już pędząc liczne trzody krów z dzwonkami na szyi, które witały radośnem beczeniem oczekujące w oborach cielęta. Ciężkie wozy, naładowane skórami, zabierały się w drogę do Kawajhae; transporta zwykle odbywają się w nocy, aby nie wystawiać biednych ciągnących je zwierząt na niemiłosierny upał i palące słońce.

— Uważaj się pan tu jak w domu, rzekł mi sędziwy gospodarz; mam nadzieję że nie prędko nas opuścisz. Obiad podadzą za godzinę; tymczasem możesz wziąść kąpiel i urządzić się w swoim pokoju. Frank będzie obiadował z panem; ja nie mogę ci służyć ponieważ z powodu podeszłego wieku muszę zachowywać pewną dietę, ale proszę zejdź do mnie na herbatę.

Podziękowałem starcowi za uprzejme przyjęcie i pozostałem sam z Frankiem. Już rok przeszło nie widzieliśmy się z sobą; nie raz obiecywałem go odwiedzić, ale zawsze nasuwały się jakieś przeszkody nie dozwalające mi dotrzymać przyrzeczenia. Wiele, wiele mieliśmy do powiedzenia sobie; rozmawiając wpatrywałem się w niego i zdawał mi się jakiś smutny i zamyślony. Powiedziałem mu to otwarcie.

— Nie wątpisz przecie o przyjemności jaką sprawiło mi twoje przybycie, odpowiedział. Tak dawno cię oczekiwałem i chyba tylko jedne twoje odwiedziny mogą rozerwać mnie w smutku.

— Ale jakiż masz do niego powód?... Jednak jeśli pytanie moje jest natrętne, nie odpowiadaj na nie. Jestem prawdziwym przyjacielem twoim, Franku, potrafię więc zarówno uszanować milczenie lub usprawiedliwić zaufanie twoje. Zostawiam ci wybór.

— Wybór nie służy mi, odrzekł, bo jeśli zamilczę powód, sam go odgadniesz.

— Jakto?

— Dziś jeszcze, lub najdalej jutro, sam bym się zdradził; nie umiem być skrytym. Jednak z innymi niż z tobą, potrafię milczeć i cierpieć. Po obiedzie opowiem ci wszystko; udzielisz mi swojej rady. Przeczuwam co mi powiesz, mniejsza o to, a może też będziesz pobłażliwszym niż ja sam jestem dla siebie.

Usiadłem do stołu zaciekawiony do najwyższego stopnia. Obiad był bardzo suty, miałem doskonały apetyt i zacząłem zajadać smaczno, gdy wtem dały się słyszeć krzyki jakiemi kanakowie oznajmiają zazwyczaj jakieś niespodziewane zdarzenie. Głośne *aoues*, tentent koni, niezwykłe jakieś zamieszanie, zwiastowały przybycie gości czy podróżnych. Wyszliśmy na werendę i zaraz zobaczyliśmy defilujący liczny orszak, na czele którego jechała młoda kobieta na pięknym karym, czarnym jak heban rumaku. Migotliwe światło pochodni nie dozwalało rozpoznać jej rysów, ale swoboda z jaką kierowała wierzchowcem, długa jasna jedwabna szata osłaniająca jej kibić i nogi, (gdyż zwyczajem miejscowych kobiet siedziała na koniu po męzku, oddalenie w jakiem przez uszanowanie trzymała się cała jej świta, wszystko to świadczyło że przybywająca wysokie zajmowała stanowisko.

Powiedziała coś do majordoma i ten zaraz przybiegł do nas.

— Księżniczka Janina, zapytuje, rzekł, czy państwo przyjmiecie ją wraz z całym orszakiem.

— Powiedz księżniczce, odrzekł Frank, że zawsze jest nader upragnionym gościem, i wydaj rozkazy aby i orszak jej jak najlepiej przyjęto. Zatrzymamy się z obiadem dopokąd księżniczka nie raczy oznajmić, czy chce zrobić nam ten zaszczyt i obiadować z nami, lub czy rozkaże podać sobie obiad do swoich pokoi.

Majordom powrócił niedługo, mówiąc iż księżniczka zaszczyci nas swoją obecnością i nie długo każe na siebie czekać.

Już od kilku lat znałem księżniczkę Janinę. Była ona siostrą króla i właścicielką ogromnego majątku, odznaczała się wielką niepodległością charakteru, miała lat dwadzieścia i dotąd nie chciała pójść za mąż. Pod zwrotnikiem, kobieta jaśnieje w tym właśnie wieku całym blaskiem swej piękności. Janina nie była doskonałą pięknością według pojęć i wymagań europejskich, ale Kanakowie uważali ją za prześliczną a i wielu cudzoziemców podzielało ich zdanie do pewnego stopnia, podziwiając jej ogromne, lśniące, czarne jak heban włosy, wielkie ogniem błyszczące oczy, zgrabną, wysmukłą kibić, zręczne ruchy, oraz zarazem łagodny i dumny wyraz twarzy, nadający jej jakąś odrębną fizyognomię.

Miała otwarte i żywe pojęcie, bystry umysł, mówiono że była zalotną, kapryśną fantastyczką, słowem zepsutem i rozpieszczonem dzieckiem w całem słowa tego znaczeniu, ale obok tego posiadała nieugięty charakter i siłę woli, mocą których imponowała ojcu i bratu, których bardzo kochała ale nie koniecznie słuchała. To też pozwolili jej rządzić się własną wolą i korzystała z tej swobody. Samowładna monarchini wśród swego kobiecego dworu, rzadko kiedy mieszkała w Honolulu i nie często ukazywała się w pałacu. Lubiła podróże, wycieczki i wszystkie wyspy archipelagu w rozmaitych przebiegała kierunkach. Najwięcej lubiła wyspę Hawaj: była to kolebka dynastyi, więc jako przedstawicielka tradycyi i pieśni swych przodków, lubiła zbierać tu i ożywiać wspomnienia przeszłości.

Do dziś dnia przechował się na wyspach Hawajskich dawny zwyczaj, iż każda rodzina wybiera jedno z dzieci, zazwyczaj córkę, i od lat dziecinnych uczy ją pieśni śpiewanych przez przodków. Pieśni te nigdy nie były spisane, przechodzą z ust do ust, przekazując tym sposobem świetne czyny wojenne, genealogie, związki, dzieje miłosne, szczęście lub niepowodzenie przodków. Każde nowe pokolenie dorzuca coś do dawnego zbioru, i odnośnie do ważności wydarzeń w jakich przyjmowała udział, wzbogaca ropertoar jedną lub kilkoma zwrotkami, ułożonemi zazwyczaj przez osobę której powierzają drogie te pamiątki. Dawniej wybrańcowi takiemu przysługiwały pewne swobody i przywileje, nawet religijne; ustały one od czasu wykorzenienia barbarzyństwa i rozszerzenia cywilizacyi, jednakże zawsze jakaś zabobonna aureola otacza tych strażników dawnych wspomnień i tradycyi. Pospólstwo przypisuje im dotąd jakąś czarnoksięzką władzę a najwyższe nawet klasy społeczne, szczególniejszym otaczają ich szacunkiem. W najważniejszych okolicznościach zasięgają ich rady, oni także stanowią najwyższą powagę, pod względem przymierzy i etykiety. Jakkolwiek obecny król jest bardzo roztropny, pojętny i całkiem przejęty nowoczesnemi pojęciami, nie mógł jednak wyzwolić się zupełnie z pod wpływu tradycyi swego plemienia, to też choć nieraz był niezadowolniony ze zbyt niezależnego i samowolnego postępowania siostry, a szczególniej z jej zbyt jawnej niechęci do wyjścia za mąż, poprzestawał na przyjacielskich radach i przestrogach, nigdy nie uciekając się do swej władzy.

Dla wielu osób Janina była zagadką. Liczna kolonia cudzoziemska zamieszkała w Honolulu wiele mówiła o księżniczce, o jej nieprzewidzianych podróżach i równie niespodziewanych powrotach i pojawianiu się na dworze, o przystępach zalotności i obojętności, wielkiej wesołości i nieusprawiedliwionego niczem smutku; rozpowiadano o niej najrozmaitsze anegdoty, ale w gruncie rzeczy nikt nic nie wiedział. Tak krajowcy jak i kobiety kanackie należące do jej służby nie umiały albo nie chciały nic powiedzieć; zazwyczaj bardzo wielomowni, gdy chodziło o księżniczkę, uporczywe zachowywali milczenie. Obawiali się jej, słuchali ślepo, służyli wiernie i dali te-

go dowód dziesięć lat temu w bardzo tragicznych okolicznościach.

W Honolulu zbierają się statki wielorybników amerykańskich, niekiedy do dwiestu na raz gromadziło się w porcie. W skutku bójki zaszłej w jednym z szynków miejskich, policya zaaresztowała i wsadziła do kozy kilku pijanych majtków; towarzysze domagali się aby ich wypuszczono na wolność. Władze odmówiły, wzburzenie się wzmogło, i niebawem 6,000 odważnych, dobrze uzbrojonych marynarzy, wytrwałych i obznajmionych z niebezpieczeństwami, obległo pałac królewski, groźnie domagając się wydania towarzyszy. Policya rozbrojona w jednej chwili, żadnego nie mogła stawić oporu; wojsko wystąpiło, jedynem czego następstwem była znaczna liczba ofiar, majtkowie byli panami miasta i można się było wszystkiego obawiać od tej pijanej i rozkiełznanej tłuszczy.

Ojciec króla, gubernator wyspy, starzec odważny i energiczny, sam tylko doradzał zacięty opór; Kanakowie przerażeni, pozamykali się w domach, a wodzowie sami nic podołać nie mogąc, tylko w ustępstwach widzieli ocalenie. Starzec wsiadł na koń, towarzyszyła mu księżniczka Janina, wówczas będąca jeszcze dzieckiem. Kilku odważnych ludzi przyłączyło się do niego; Janina owładnięta niewysłowionem uniesieniem, zgromadziła swoje kobiety dworskie i zaśpiewały chórem wojenną pieśń wielkiego Kamehameha. Na odgłos jej śpiewu lud zaczął się zbierać. „Hookanaka! bądźcie ludźmi! wołała, powtarzając te ostatnie słowa umierającego bohatera. Ludność pociągnięta głosem dziewczynki której tajemniczą jakąś przypisywała władzę, uzbroiła się w co kto mógł i z dzikim szałem rzuciła się na majtków, którzy przerażeni niespodziewanym napadem, zachwiali się i pobici w nieładzie cofnęli się na okręta. W kilka godzin zaburzenie się uspokoiło. Spokojna, nie zważająca na niebezpieczeństwo, Janina przejeżdżała ulicami zasłanemi rannymi i poległymi i tak wróciła do pałacu wśród tryumfalnych okrzyków Kanaków, którzy odtąd silniej jeszcze utwierdzili się w przekonaniu o jej czarnoksięzkiej władzy. Ci co znali regentkę Kaahumann, wdowę po Kamehamehu I i z przestrachem wymawiali imię tej strasznej królowej, której nieugięty charakter i żelazna wola, dokonały dzieła rozpoczętego przez męża, pokonały przeszkody, przełamały opór i doprowadziły do skutku zjednoczenie wysp hawajskich, utrzymując po cichu, że dusza Kaahumann przeszła w małą księżniczkę.

Dotrzymując słowa, Janina weszła do nas w kilka chwil po mojem przybyciu. Pierwszy raz zobaczyłem ją w ubiorze krajowym jaki zawsze nosiła w podróży, zaś podczas pobytu w mieście ubierała się po europejsku jak wszystkie znakomite damy hawayskie. Miała na sobie długą bardzo tunikę nie wpadającą do stanu, przez co wydawała się daleko wyższą; tunika ta spięta pod szyją i drapująca się w zręcznie spadające fałdy, była koloru jasnożółtego. Ogromne czarne włosy, otaczały szerokie, nieco nizkie czoło. Nie wiedzieć zkąd to mogło powstać, ale wśród kruczych włosów, miała jeden promień jasno-blond, dziwnie odbijający od całości i od pierwszego spojrzenia zwracający uwagę każdego kto ją pierwszy raz widział. Girlanda z tyarei (rodzaj dubeltowego jaśminu) lśniącej białości i upajającej woni, nader gustownie ułożona w kształcie dyademu zdobiła jej czoło; na szyi miała naszyjnik z tychże kwiatów, pomieszany z pączkami blado żółtego haosu, odpowiadającego kolorowi tuniki. Ubiór ten tylko bogactwem materyi i szykownym układem różnił się od stroju kobiet tej rasy.

— Dzień dobry, Franku, rzekła zwracając się do mego przyjaciela, którego twarz żywe zdradzała wzruszenie — znam od dawna gościnność ojca twego i twoją, to też bez wahania z niej korzystam.

— Księżniczka Janina zawsze jest dla nas pożądanym gościem, odpowiedział.

— A pan, rzekła zwracając się do mnie, przebacz że z mojej przyczyny dłużej czekałeś na obiad; bardzo mi przyjemnie że pana tu spotkałam, sądziłam że bawisz w Honolulu.

— Ja znów nie spodziewałem się, że pani przybędziesz do Hawaj.

— Nie długo tu zabawię; jadę do brata mego do Kajlna, obrałam drogę na wulkan, gdyż mówiono mi że gotuje się nowy wybuch. Czy to prawda, Franku?

— Zdaje się: w ostatnich dniach dawały się uczuć lekkie trzęsienia ziemi, a dwóch z naszych ludzi którzy dziś rano wrócili z wierzchołka Mauna-Loa, mówili że od południa pokazuje się dym daleko większy niż zwykle. Czy masz pewnych przewodników? zapytał żywo.

— Kimo jest w moim orszaku, więc nie potrzebuję przewodników; Kimo zna drogę równie dobrze jak ty Franku, a nie obawiam się przecie Peli, bogini wulkanów, dodała śmiejąc się.

— Więc Kimo dotąd zostaje w twoich usługach? zapytał marszcząc brwi.

— Tak i myślę że nigdy się nie oddali; ale przypominam sobie że go nie lubisz, Franku, cóż on ci zawinił?

— Nic, i nie mogę przeczyć że jest wierny i bardzo do ciebie przywiązany, sam nie umiem wytłomaczyć zkąd powstała moja nieufność... której ty nie podzielasz.

— Nic a nic i zupełnie przeciwnego jestem zdania, rzekła wyniośle, więc dajmy temu pokój i mówmy o czem innem.

(d. c. n).

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

V.

Ziemia, gwiazda nieba.

„Nie jeden zapewnie zadziwi się, mówi Flammarion, że *Ziemię* na której przebywamy zamieszczamy w traktacie astronomicznym, pomiędzy Wenus i Marsem, jak każdą inną planetę, lecz nie byłbym ani ścisłym ani dokładnym gdybym pominął świat z którym losy nasze są związane. Wychodząc ze Słońca dla zwiedzenia prowincyi składających jego rzeczpospolitę, spotykamy Ziemię jako trzecią z tychże prowincyi. Odbywa ona swój bieg w towarzystwie Księżyca i jest planetą z tegoż samego tytułu co inne planety, ani podrzędniejszą ani też wyższą od nich i równie jak jej siostrzyce odbywa swój bieg ulegając potężnemu prawu powszechnego ciążenia. Brzęcząc swoją nutą wśród ogólnej harmonii, drga pod użyźniającemi promieniami jasnego ogniska, szybko obraca się w przestrzeni i koleją swych obrotów rozdziela dzieciom swoim lata, pory roku i dnie.“

Tak jest, ta kula w około której wegetuje 1,400,000,000 małych istotek uchodzących za rozumne, jest gwiazdą Nieba, odosobnioną ze wszech stron w niezmierzonej próżni, odległą o 37 milionów mil od Słońca i obraca się w koło niego w takiejże odległości, a obrót ten wymaga 365 dni, 6 godzin, 9 minut i 10 sekund.

Z pomiędzy ludzi myślących i czujących, ożywionych szlachetną żądzą wiedzy, nie ma pewnie takiego któryby choć w pewnych życia godzinach nie zadał sobie pytania: czem jest to niebo rozpostarte po nad naszym ziemskim padołem? Czy to wśród jasnych pięknych dni gdy świetny lazur roztacza się wspaniale nad naszemi głowami i zaledwie gdzie nie gdzie lekkie srebrzyste obłoczki uwijają się po nim; czy w wieczornych godzinach gdy paląca gwiazda zstępuje majestatycznie do swego purpurowego, złotą frendzlą objętego łoża, a rumiany księżyc wyłania się z po za gór; czy wśród milczących nocy gdy iskrzące gwiazdy roztaczają w przestrzeni smętne swe światło, w takich chwilach rozmyślania i rozmowy z przyrodą, dusza pragnie gorąco zgłębić tajemnice kreacyi, czuje że nieświadomość jej poniża i zapytuje Przedwiecznej Istoty, jakim sposobem może otrząsnąć się z ciemności i zbadać wielkość i układ niezmierzonego wszechświata.

Wzrok nasz, ograniczony sferą w jakiej się znajdujemy, ukazuje nam rozciągnięty po nad naszemi głowami niebieski pawilon, zasiany w ciemności niezliczoną liczbą świetlanych punktów. Zdaje nam się że jest to pochylone nieco sklepienie, utworzone z substancyi lotnej, i pokrywające powierzchnię ziemi jakby niezmierna kopuła. Oto szkic systemu pozorów jaki układamy sobie będąc dziećmi, gdy o wszystkiem sądzimy z wrażeń wywieranych na nasze zmysły; tak samo wierzyły ludy zostające w dzieciństwie, gdyż ludzkość równie jak jednostki dorasta powoli, przechodząc ze słabości i nieświadomości do rozmyślań, sądu i analizy. Jakże to wielu ludzi nie rozumujących, obojętnych na postęp nauki, po dziś dzień jeszcze wierzy i trzyma się tego systemu.

Tymczasem Ziemia nasza jest planetą i zarówno jak Merkury i Mars unosi się w przestrzeni. Dla mieszkańców Merkurego i Wenusa świeci z oddali jak gwiazda. *Ziemia jest kulą unoszącą się w przestrzeni bez żadnej podpory a przestrzeń ta rozciąga się do nieskończoności* na około niej we wszystkich kierunkach.

Jak pojąć taką niezmierność? I czemże jest kula ziemska w łonie takiej próżni?... Przypuśćmy że chcąc ją zmierzyć bierzemy Ziemię za punkt wyjścia i zwracamy się *ku któremu bądź punktowi Nieba*, więc w którą bądź stronę przestrzeni zwróciliśmy się w prostym kierunku nigdy się nie zatrzymując i gdybyśmy nawet przebywali próżnię z szybkością światła, 75,000 mil na sekundę, 450,000 mil na minutę, 270 milionów mil na godzinę, moglibyśmy równie prędko biedz całe dnie, tygodnie, miesiące i lata, i wieki i tysiące i miliony wieków, a nigdy, *nigdy* nie dosięglibyśmy krańców tej niezmierzoności... Przebywszy jedne otchłanie, spotykalibyśmy drugie, i to nieustannie i bez przerwy, choćbyśmy wędrowali tak przez wieki wieków, tak wielką jest potęga nieskończoności, która niedostępna *wiecznie* uciekałaby przed nami, śmiejąc się z naszej bezrozumnej pogoni. Miliardy wieków są zerem w obec *wieczności i nieskończoności!*

Unoszona w przestrzeni tajemniczem prawem powszechnego ciążenia, Ziemia nasza posuwa się w przestrzeni z szybkością jakiej, największej nawet natężając myśl, pojąć nie możemy. Posłuszna Słoń-

cu, obraca się w koło niego w odległości średniej 37 milionów mil, na drodze wynoszącej nie mniej jak 235 milionów mil, i to w przeciągu 365 dni i 6 godzin. Aby odbyć ten obrót musi biedz z prędkością 643,395 mil na dzień, 26,808 mil na godzinę, 29,786 metrów na sekundę. Najszybszy pociąg kolei, pędzony całą siłą pary, nie może przebyć maximum więcej jak 100 kilometrów, to jest 25 mil na godzinę, a Ziemia posuwa się 1,100 razy prędzej na niewidzialnych drogach Nieba. My, maluczkie żyjątka, przylepieni do jej powierzchni przez jej centralne przyciąganie i unoszeni jej biegiem, nie możemy ani ocenić ani zdać sobie sprawy z tego biegu, a przecież lecimy 73 razy prędzej niż kula armatnia.

Kula ziemska ma 12,733 kilometrów czyli 3,184 mil szerokości a 40,000 kilometrów czyli 10,000 mil obwodu. Powierzchnia jej wynosi 509 milionów kilometrów kwadratowych, objętość czyli bryłowatość około 1,000 miliardów kilometrów sześciennych; gęstość pięć i pół razy przewyższa gęstość wody; ciężar wynosi 5,875 *sekstilionów* kilometrów.

Objętość ta i ciężar wydają nam się bezmierne; a przecież objętość Słońca przewyższa 1,279,000 razy objętość Ziemi, a ciężar Słońca jest 324,000 razy większy niż ciężar Ziemi.

Atmosfera otaczająca Ziemię waży 6,263 kwatrilionów kilogramów, to jest blizko milion razy mniej niż kula ziemska. I pod tą warstwą powietrza czołgamy się jak ostrygi w morzu, dźwigając na naszych barkach ciśnienie 15,500 kilogramów; i nie możemy, choćby jak ptaki unieść się po nad ten padół, do którego przykuwają nas okowy ciążenia.

Oprócz swego obrotu około Słońca, Ziemia odbywa jeszcze wiele innych w przestrzeni, a obroty te zostały zbadane dzięki niezliczonej liczbie obserwacyi gwiazd, dopełnianych nieustannie przeszło od 4,000 lat, jakoteż ścisłości zasad tegoczesnej mechaniki niebieskiej. Poznanie tych ruchów stanowi główną podstawę najwyższej i najgruntowniejszej z nauk. Obecnie a pomimo świadectwa zmysłów, pomimo odwiecznych złudzeń i błędów, a szczególniej pomimo próżności ludzkiej, Ziemia zaliczona jest do rzędu gwiazd i równie jak jej siostrzyce unosi się w przestrzeni, biegnąc ku nieznanym celom. Od czasu swego istnienia *Ziemia nie przesunęła się dwa razy przez jedno miejsce*; Czytelnicy! miejsce w którem znajdujecie się obecnie tonie szybko w przestrzeni po za naszym eterycznym szlakiem aby nań nigdy nie wrócić! I sama powierzchnia Ziemi zmienia się z każdym wiekiem, z każdym rokiem, z każdym dniem, i warunki życia zmieniają się w obec wieczności i przestrzeni. Bieg świata odbywa tajemniczą swą drogę a znajdujące się na nim istoty i rzeczy nieustannym podlegają odmianom.

Ale nie opuszczajmy Ziemi, nie zbadawszy *warunków życia* na jej powierzchni.

Trudno zaprzeczyć że planeta nasza nie może się poszczycić najlepszymi warunkami zamieszkalności. Rozpatrując okiem filozofa żywotny stan naszego świata, dostrzegamy mnóstwo braków, wadliwości i zawad, jeźli więc Ziemia jest zamieszkaną, to bynajmniej nie dla tego żeby stanowiła wyjątek wśród siostrzyc swoich, ale że jest w naturze planet, aby były zamieszkane.

Prawie pewnym być można iż jeźli są astronomowie na Saturnie i Jowiszu, muszą, i to nie bez ważnych przyczyn, uważać Ziemię za niezamieszkalną. Przypuśćmy że dostaliśmy się na Saturna który jest 864 razy większy od Ziemi; zdawać nam się będzie że znajdujemy się w samym środku świata. Po nad naszemi głowami przesuwać się będą promieniejące pierścienie, jakby podtrzymujące niebieskie sklepienie. Po za temi pierścieniami, Słońce, mała gwiazdka, ale źródło światła i ciepła, opisuje swą pozorną drogę. Ośmiu ogromnych satelitów, na pozór daleko większych od Słońca, obracają się w koło nas w tymże samym kierunku, a cały ten niezmierzony systemat zamyka gwiaździste niebo, dokonywając codziennie szybkiego swego dziennego obrotu. Po tem niebie krążą trzy piękne planety: Jowisz, Uran i Neptun; w tej wspaniałej strefie każdy rok jest trzydzieści razy dłuższy od ziemskiego, i składa się z 25,069 dni saturnowych.

Mieszkańcy Saturna zapewnie nawet nie wiedzą o istnieniu Ziemi, gdyż ta jest dla nich niewidzialna i pod względem optycznym mniejszą ma dla nich ważność niż dla nas satelity Jowisza. Wydaje im się ona małym, zaledwie świetlanym punktem, odległym od nich przeszło 300 milionów mil. Punkcik ten błąka się po prawej i lewej stronie Słońca, nieoddalając się nigdy od niego więcej nad 6 stopni, więc jako zaćmiony promieniami Słońca, jest niewidzialny. I tylko czasami mały ten punkcik pokazuje się na Słońcu jakby przekłucie igłą i wtedy tylko można go dostrzedz i przekonać się o jego istnieniu. Tak więc dla mieszkańców Saturna jesteśmy tylko *małym czarnym punktem* przechodzącym niekiedy przed Słońcem, i to jedynie dla astronomów tamtejszych, bo ludność ani wie, ani troszczy się o ten nic nieznaczący szczegół. Oto jakie wejrzenie przedstawia Ziemia z odległości Saturna.

Pod względem rozmiaru, ciężaru, gęstości, odległości od Słońca, długości roku i pór jego, jakoteż pod względem szczególnego położenia astronomicznego, Ziemia nie stoi wyżej, a nawet pod wielu względami inne planety lepiej są uprzywilejowane. Życie istniejące na powierzchni naszej planety, odpowiada wybornie warunkom jej zamieszkalności, i tak być musiało *ponieważ te właśnie warunki zrobiły życie tem czem jest*. Przeniesione na inną planetę, życie ziemskie musiałoby zaginąć, to też wielkim byłoby błędem porównywać pod tym względem inne planety z naszą Ziemią. Fizyologią każdego innego świata należy rozważać ze stanowiska poglądu *ogólnego* a nie *wyłącznie* ze stanowiska przeniesienia tam życia ziemskiego. Chcąc sądzić o Ziemi musimy także rozważać ją ze stanowiska ogólnego, a nie szczegółowo ze stanowiska zastosowania zamieszkujących ją żyjących rodzai do warunków jakie im dały życie.

I tak zastanowimy się najpierw nad rozdziałem pór roku. Nie ulega zaprzeczeniu że zima jest równie potrzebną jak lato, aby zboża, winna latorośl i inne rośliny, zakiełkowały, zakwitły i dojrzały, lecz nie można przecież wnosić z tego że Jowisz nie może być zamieszkalnym, gdyż zboże nie mogłoby się tam rodzić a więc mieszkańcy musieliby umierać z głodu.

Bez wątpienia wpływ pór roku sprzyja zarówno roślinności jak i naturze zwierzęcej, ale ani zbyt wielkie mrozy ani zbyt wielkie upały nie są niezbędne, a często bywają nader zgubne. Przypuśćmy żeby oś Ziemi była mniej pochyloną na ekliptyce, wtedy i roślinne i zwierzęce królestwo byłyby się lepiej, doskonalej uorganizowały, a wszelkie rodzaje, nienarażone na takie zmiany temperatury byłyby delikatniejsze i czulsze. Ponieważ to pory roku i klimat są po większej części regulatorami życia, więc pod tym względem planecie naszej daleko do doskonałości—zrozumieli to sami mieszkańcy Ziemi, gdy w kolebce społeczeństw wymyślili *wiek złoty* z nieustanną wiosną i osią prostopadłą do ekliptyki.

Równie niedoskonałym jest rozkład wód na powierzchni Ziemi; są okolice w których nieustannie padają obfite, prawie potopowe deszcze, w innych deszczów nie ma wcale. W jednych panują straszne susze, tam znów przerażające wylewy wód, szerzące śmierć i zniszczenie. Trzy części kuli ziemskiej pokryte są wodą, zaledwie więc czwarta jej część jest zamieszkana, a i w tej ileż jeszcze okolic skazanych jest na osamotnienie, już to przez lody północne, już przez skwarne upały podzwrotnikowego słońca, słowem jak mierne są warunki mieszkalności na naszej planecie. Wszak nie żywi nawet swoich dzieci! muszą pracować ciężko i wydzierać jej pożywienie nieszczęściem niezbędne dla naszych organizmów, a nie dość na tem wszystkie istoty zjadają się wzajemnie. Czyż już to samo nie powinno zwracać uwagi myśliciela, że na naszej planecie można umrzeć z głodu? Nie ulega zaprzeczeniu że na 90,000 ludzi umierających codziennie na powierzchni Ziemi, nie jeden pewnie umiera z głodu. Czemu? bo świat nasz zawsze był jałowym i sam z siebie nie jest zdolny dostarczyć nam czego potrzebujemy. Jakżeby inaczej było, gdyby atmosfera mogła nas żywić!

Wszak już kwasoród z powietrza, pomieszany z azotem miarkującym jego działalność, żywi nas w trzech częściach Przez nieustanne jego działanie, krew odnawia ciągle swe własności żywotne i darmo utrzymuje podstawę naszej istności; lecz samo oddychanie nie wystarcza do zupełnego wyżywienia żyjącej istoty, zostawia ono próżnię którą musimy zapełniać chlebem powszednim. Lecz jestże to niezbędnem? Gdyby atmosfera zawierała żywioły których zmuszeni jesteśmy szukać w pokarmach, mogłaby żywić nas w zupełności. Jakże to inaczej wtedy światby się przedstawiał! i my jedząc nie mielibyśmy ani szczęk ani żołądka, wyglądalibyśmy inaczej i znajdowali się w daleko lepszych warunkach.

Cóż to za mrzonki, co za utopie! zawoła nie jeden. Nie! w badaniach fizyologii astronomicznej nie ma utopii, marzeń ani mrzonek. Czyż dla tego że my toniemy w morzu, życie jest tam niemożebnem? Gdzie my umieramy tam mogą żyć i żyją inne istoty. Wszak i na naszej planecie żyją istoty żywiące się jedynie otaczającym je płynem, jak mięczaki świeżo odkryte na dnie morskiem.

Nie! ludzkość ziemska nie jest bynajmniej ideałem doskonałości, a Ziemia najlepszym ze światów. Świat na którym jedzą, kradną, biją się, gdzie „siła przewodzi nad prawem" gdzie wojny pochłaniają krocie ofiar, świat taki nie jest doskonałym; i możnaż zakreślać granice wszechmocności Stwórcy!...

Złożony początkowo z małej liczby jednostek, rodzaj ludzki pomnażał się nieustannie co do liczby i potęgi. Obecnie, w braku dokładnych spisów ludności które nie wszędzie dadzą się sporządzić, prawdopodobne obliczenie dokonane w 1875 r. podaje w przybliżeniu ludność całej Ziemi na 1,400 milionów, rozdzieloną w ten sposób: W Azyi 800 mil. w Europie 305 mil. w Afryce 204 mil. w Ameryce 86 mil. w Oceanii 5 milionów. Przypuszczając *w przecięciu* długość życia na lat 39, umiera co rok 33,135,000 osób, co dzień 90,720, co godzina 3,780, co minuta 63 co sekunda nieco więcej jak 1.

Tak więc co sekunda od drzewa ludzkości odpada jedna gałązka i zaraz na jej miejsce nowy powstaje listek. Między światem widzialnym i niewidzialnym odbywa się nieustanna procesya żywych i umarłych, jednak życie góruje nieco nad śmiercią, ponieważ liczba urodzeń przewyższa nieco liczbę śmierci. Rodzimy się więc aby umierać, umierać prędko gdy nasza nadejdzie godzina, a jednak ludzie trapią się żądzą bogactw, sławy, dumy, uganianiem się za próżną marą wielkości ziemskich!

Ziemia nasza mogłaby wyżywić dziesięć razy więcej mieszkańców, ale ludzie są równie niedoskonali jak ich planeta, nie umieją żyć. Jednostki same się zabijają prędzej czy wolniej, narody wyjaławiają

się i wygubiają powoli. Gdyby człowiek miał czyste sumienie, gdyby zachciewki swe i żądze kierował rozumem; gdyby dobrze postępował, życie jego tak krótkie i pełne utrapień byłoby dłuższe i szczęśliwsze; prawa społeczne byłyby prostsze i słuszniejsze i nie napotykanoby co krok w społeczeństwach ludzkich anomalii i niedorzeczności legalnych. Wierzmy jednak że *Postęp* ta siła tak niezaprzeczenie objawiająca się w następstwie rodzai roślinnych i zwierzęcych, objawi się kiedyś i w królestwie człowieczem. Dziś już nie jesteśmy tem czem byliśmy w wieku kamienia, uczucia nasze są wznioślejsze, upodobania nie tak dzikie, umysł oświeceńszy. Gdyby postęp taki trwał nieustannie, dosięgnęlibyśmy prędzej urzeczywistnienia naszych pragnień filozoficznych i politycznych, ale tak nie jest niestety! Może więc długie, długie upłyną wieki, może setki tysięcy lat zanim postęp rozszerzy się wszechwładnie po całej ziemi, ale i wtedy nawet ludzkość nie będzie doskonałą, bo doskonałość nie jest udziałem tego świata.

Zresztą i sama ludzkość nie jest wieczną i ona kiedyś zniknie z powierzchni świata, jak zaginęło tyle pokoleń których ślady przechowują muzea. Dzieje człowieka są jakby maleńką falą na powierzchni niezmierzonego oceanu czasu. Zdaje się jednak że byt jego na Ziemi może jeszcze trwać dłużej niż czas od jakiego jest już zamieszkaną, tak więc możemy być spokojni tak o siebie jak o długi jeszcze szereg mających po nas nastąpić pokoleń. Lecz też same siły które wytworzyły życie i tylokrotnie go już przekształciły, same także wyczerpują się i zmieniają, a samo nawet Słońce utraca swe ciepło. Nadejdzie więc czas że i my znikniemy z powierzchni ustępując miejsca nowym, doskonalszym formom żywotnym, i z kolei w końcu i ci ludzie przyszłości zaginą, a któż odgadnie co drzemie w oddalonych przestrzeniach przyszłości?... Całe dzieje ludzkości stanowić będą jedną tylko stronnicę dziejów Ziemi, jeden rozdział w historyi powszechnej świata planetarnego.

(*d. c. n.*)

Weber i brat Maryan.

(z notatek artysty).

Pierwsze przedstawienie Eorjanty już zostało ukończone, zasłona po raz ostatni opadła. Weber odrzuciwszy wszelkie zaproszenia, dążył spiesznie do domu, gdzie, jak mówił, miał napisać do żony, a następnie położyć się do łóżka. Czuł się w najwyższym stopniu rozgorączkowanym, znużonym, niezadowolonym z siebie.

Eorjanta wielkie miała powodzenie, lecz twórca jej, tak zawsze rozsądny, niezarozumiały, wiedział, że na nic nie zasługiwała, że je raczej pamięci na inne jego ulubione dzieło, pamięci na nieśmiertelnego Freischützа zawdzięczała. Przyszedłszy do domu, udał się na spoczynek; ponieważ jednak gorączka z każdą chwilą się wzmagała, uznał potrzebę porady; nie chcąc zaś, by choroba jego zaraz nazajutrz stała się przedmiotem ubolewania wszystkich pism miejscowych, posłał nie po doktora a po zakonnika. W kwadrans już jeden z członków dobroczynnego bractwa, stanął przy łóżku chorego. Weber obrzucił go badawczem spojrzeniem i ze zdumieniem poznał w nim dawno niewidzianego brata Maryana.

— Pan tutaj? zawołał.

— Tak, panie Weber, odparł zakonnik, góra z górą się nie zejdzie, człowiek z człowiekiem — zawsze. Spokój klasztoru w Haindorf, ciągnął dalej, nie odpowiadał memu żywemu, wrażeń żądnemu usposobieniu; udałem się na pielgrzymkę i po drodze zbierać zacząłem zioła różne i kwiaty, z zamiłowaniem rozmyślając nad pożytkiem jaki one zdrowiu naszemu przynieść mogą. Otrzymawszy następnie od zwierzchnika mego pozwolenie studyowania medycyny, pojechałem do Pragi, w dwa lata później przeniesiony zostałem do Wiednia i tu właśnie po raz pierwszy od czasu naszego niewidzenia się posłyszałem imię twoje rozgłośne. Stałeś się wielkim, sławnym, tonów twórcą, kompozytorem!

— Jak na dzisiaj nie wielkim ani sławnym a chorym tylko, przerwał Weber, dłońmi obiema przyciskając skronie rozpalone.

Zapisawszy lekarstwo i wysławszy po nie służącego, brat Maryan przysunął fotel i usiadł przy łóżku chorego.

— Stan twój, rzekł po chwili, nie grozi najmniejszem niebezpieczeństwem; przy usposobieniu jednak tak drażliwem, należy postępować bardzo ostrożnie; dlatego też pozostaję tu jeszcze i nie opuszczę, nim się o skuteczności działania napoju chłodzącego nie przekonam.

— Wdzięcznym wam bracie, odparł Weber; często myślałem o was, o waszym talencie, lecz nigdy nie byłem wstanie sobie wytłomaczyć, dlaczego człowiek tak wielkich zdolności artystycznych w klasztorze się zamknął, zamiast sztuce życie całe poświęcić?

Zakonnik westchnął, zwiesił głowę ku ziemi i w myślach utonął; po długiej chwili milczenia rzekł wreszcie:

— Ja o tobie, mistrzu, również często myślałem i wspominałem; gra twoja cudowna dotąd mi w uszach brzmi jeszcze... Piosnkę, coś dla mnie napisał, słyszałem później i teraz jeszcze słyszę gwizdaną lub śpiewaną wszędzie, przez wszystkich! Tyś nią ozdobił twe dzieło ulubione!

— Prawda, odrzekł Weber powoli, głosem przyciszonym: w Wolnego Strzelca ją wplotłem. Tak, ciągnął dalej i już jakby dla siebie tylko; to, com wtedy pisał, sercem pisałem; Eorjanta to dziecię mego ducha, lecz nie mego serca; nią chciałem zaćmić Freischütza, wyżej ją nad inne me dzieła postawić — nie mogłem, bo rozum tylko, nie uczucie mną rządziło!

Zakonnik rzucił na artystę spojrzenie pełne współczucia.

— Tak, mówił Weber, rękę kładąc na czole; raz doznałem szczęścia najwyższego, jakie mogło być udziałem moim, raz stanąłem u szczytu sławy, nie powinienem był doń po raz drugi rękę wyciągać, dążyć doń po raz drugi. Lecz dajmy temu pokój; powiedz mi, bracie, raczej, coś malował przez cały ten długi czas naszego niewidzenia się?

Brat Maryan zamyślił się głęboko.

— Z Haindorf, odparł jednak po chwili, wykończyłem kilka krajobrazów, sprzedanych na korzyść klasztoru. Później — porzuciłem sztukę, choć ją kochałem namiętnie, duszą całą, sercem całem. Co mnie do tego kroku skłoniło, powiedzieć mogę, lecz wam tylko, mistrzu!

Matkę miałem anielską, świętą kobietę; za młodu była ona śpiewaczką, znała cały świat artystyczny i mówiła mi często o sprzeczkach i intrygach jakie w nim panują... Ojca mało znałem; pamiętam jednak, jak był piękny, choć zawsze smutny, milczący, w sobie zamknięty. Pewnego dnia — miałem wtedy rok czternasty — opuścił nas, by już więcej nie wrócić. Matka moja wpadła w rozpacz i wkrótce umarła: zostałem więc sam jeden na świecie. W kilka lat otrzymałem paczkę, którą mi wręczył gwardyan jednego z klasztorów tutejszych: do mnie była adresowana i zawierała list od ojca dla mnie napisany.

Teraz dopiero dowiedziałem się, że był zdolnym, lecz sławy żądnym artystą. Podziwiano grę jego, lecz uznanie czasowe dlań nie było dostatecznem; pragnął imię swoje utrwalić na zawsze w pamięci świata całego, komponował więc...

Tu zakonnik zamilkł, zbladł i po chwili mówił dalej cichym głosem:

— Pokusa jakaś dziwna opanowała mego ojca; przyjaciel jego, zdolniejszy o wiele od niego, pokazał mu swoje dzieło. Zazdrość obudziła sprzeczkę, której następstwem był pojedynek i śmierć niewinnego.

I ja także byłem dumny i ja o sławie marzyłem. Raz, było to w Dreznie — zobaczyłem krajobraz, świeżo, bo przy mnie wykończony... Czułem, jak krew się we mnie wzburzyła, jak zazdrość gwałtowna całym mną wstrząsnęła. Przestraszyłem się sam siebie: duch ojca stanął przede mną zasępiony, ponury.

Porzuciłem sztukę, ślubami kościelnemi życie moje związałem, poniosłem w ofierze marzenia moje, cel mojej przyszłości, by ujść pokusie najstraszniejszej, najczarniejszej ze wszystkich namiętności.

— To szlachetnie, wzniośle! zawołał Weber ze czcią i uwielbieniem w głosie. Ja nie czuję w sobie siły do tak pięknego postępku.

— Boś mistrzem! Nie masz współzawodników, nie masz więc pola do zazdrości...



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 22 Сентября (4 Октября) 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 40.

N. 1. Ubranie małej dziewczynki. Krój dopasować można podług ryc. 20—21.

Kolorowy welwet lub aksamit i takiż kaszmir stanowią materyał na to ubranie, formą princesse; kaszmir użyty jest na rękawy wązkie ozdobione aksamitną pliską i na przybranie złożone z drobniutko plisowanych falbaneczek otaczających dół sukienki, z plisek i plisowania którem odznaczony jest długi paletocik i z szarfy przewiązanej z boku.

N. 2. Ubranie spacerowe jesienne. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 37—39-a.

Okrycie jesienne jakie przedstawia rycina 2 odznacza się zręcznym fasonem a szerokie rękawy pozostawiają całą swobodę ruchom rąk. Całość formy załączyliśmy na zmniejszonym formacie Fig. 37-a—39-a; zwracamy uwagę że tylko dla braku miejsca podaliśmy tylną połowę okrycia w dwóch częściach przedzielonych prostemi linijami; krająć z materyału trzeba formę złożyć podług gwiazdki i dwukropka i krająć podług całkowitej; forma przodu także jest założona. Rękaw od tyłu dochodzi aż do wykroju szyi przy literze R, z przodem zaś złączony jest od O—P i od N—O; dalsze połączenie części okrycia dopełnia szew od I—K, poczem część wystającą przy I, składa się do wewnątrz przez co tworzy spodnią połowę rękawa, dalej zaś prowadzi szew od M—L i od L—I. Model odrobiony był z czarnego aksamitu na podszewce jedwabnej, bez stojącego kołnierzyka jaki załącza Fig. 39-a, tylko z wąziutkim paskiem w jaki wszyty jest wykrój szyi. Brzeg rękawów objęty oszyciem z piór białych; pod szyją sznur jedwabny biały do wiązania. Cienkie sukno lub kaszmir mogą również służyć za materyał na takie okrycie.

N. 3—4. Kapa na łóżko. Siatka gipiurowa i haft na płótnie.

Rycina 3 przedstawia model pięknej i niezmiernie efektownej kapy z siatki gipiurowej na podwleczeniu z kolorowej materyi. Kwadraty i wszywki siatkowe łączone są paskami płótna ozdobionemi haftem; dwa paski brzeżne ozdobione są kratką ażurową podług ryc. 4. Różne wzory kwadratów i wszywek gipiurowych znajdą czytelniczki nie tylko w tegorocznych N-rach Tygodnika ale i w N-rach z lat dawniejszych. W elegancko umeblowanym pokoju sypialnym firanki, portyery i kapa powinna być w jednym rodzaju.

N. 5. Szlaczek do kołnierzyka; kratka ażurowa i haftcik.

N. 6—7. Cyfry do znaczenia bielizny na pościel, ręczników, bielizny stołowej i t. p.

Cyfry do znaczenia bielizny najlepiej wyglądają jeżeli są jednakowe na obie strony; ścieg krzyżykowy i ścieg w kwadraty nadaje się tu doskonale bo z obu stron jednakowo się przedstawia. W roku 1875 i 76 podaliśmy w Tygodniku szczegółowy opis tego rodzaju ściegów, tam więc odsyłamy czytelniczki nie obznajmione jeszcze z tą robotą. Monogramy załączone na ryc. 6—7 wszyte są ściegiem który z jednej strony tworzy krzyżyki z drugiej kwadraty. Ponsowe krzyżyki A, z szafirowemi kwadratami S, z lewej strony wychodzą przeciwnie: A odznaczone tam jest kwadratami, S zaś krzyżykami; to samo jest z literami B—U. Na trochę grubszem płótnie można brać po 3 lub 4 nitki na ścieg i robić równo, na cienkiem tle, adamaszkowym deseniu lub drylichu trzeba podłożyć kanwę, bo tylko z jej pomocą krzyżyki wyjdą równo.

N. 8—9. Ręczniki ozdobione wyszywanemi szlakami.

Deseń szlaku do ryc. 8 załączony jest na Fig. 26—27 na arkuszu z krojami; odrobiony jest ściegiem szydełkowym w tamborku. Na ryc. 9 szlak wyszyty jest krzyżykami podług któregokolwiek deseniu, jakie ciągle zamieszczamy; brzegi oszyte koronką robioną na drutach.

N. 10. Poszewka z obrębem haftowanym.

Obręb u góry przestębnowany jest dwa razy u dołu wycięty w zęby zdobne dzierganiem podług Fig. 31. Monogram biały z ponsowym podamy w N-rze 41 na ryc. 16.

N. 11—12. Poszewki ozdobione wyszyciem krzyżykami.

Krzyżyki wyszyte są bawełną kolorową dobrą do prania np. ponsową, szafirową, zieloną lub t. p. Oryginalne przyozdobienie stanowią kwaściki dane na rogach z takiej samej bawełny.

N. 13. Podwiązka sukienna. Deseń Fig. 30.

Potrzeba na nią kawałka sukna 45 cent. długiego, 5 szerokiego ozdobionego wyszyciem z niebieskiego jedwabiu podług Fig. 30. Wzdłuż pasków dzierganych sukno jest przecinane i przez przecięcia wsunięta taśma elastyczna 32 cent. długa, na której końcach przymocowane są sprzączki do zapinania. Przyozdobienie stanowią dwie półrozety po 4 cent. długie a po 8 szerokie wydzierganе w zęby i wyszyte jedwabiem.

N. 14—15. Narożniki do kołnierzyków.

Kolorowe szlaczki przy kołnierzykach i mankietach bardzo są modne obecnie, podajemy więc w Tygodniku różne wzory wyszycia. Na ryc. 14 narożnik wyszyty bawełną ponsową i szafirową brzegi zaś przestębnowane i ozdobione gwiazdkami. Rycina 15 przedstawia wyszycie z muszek i luźnego ściegu bawełną czarną, ponsową i zieloną.

N. 16 tudzież ryc. 3 w N-rze 41. Paletot skośno zapinany. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—7.

Przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 16 i na ryc. 3 w przysz. N-rze paletocik wykończony z czarnego jedwabnego repsu, z przodami skośnie zapiętemi, odznacza się bardzo zręcznym a łatwym krojem. Zamiast repsu można użyć kaszmiru, aksamitu matelassu lub innego materyału wełnianego, dodając lekką lub ciepłą podszewkę. Skromne przyozdobienie stanowią szmuklerskie guziki i wypustka obejmująca brzeg przedni, rozcięcie u dołu pleców, kołnierz, klapki i ranwersy jak to widać na ryc. 16. Mankiety przy rękawach składają się z dwóch części Fig. 5 i 6, które zdają się być spięte guzikami i zachodzą na siebie od dwukropka do gwiazdki a na rękawie przyczepiają się od L do H i od krzyżyka do K. Paletocik ryc. 3 w N-rze 41 ma proste mankiety objęte podwójną wypustką. Dla braku miejsca forma przodu i pleców jest nie wykończona i trzeba dopełnić ją podług miary oznaczonej na zmniejszonym formacie.

N. 17. Fartuszek ozdobiony haftem. Deseń na arkuszu Fig. 58.

Uszyty z czarnego repsu, u góry wiążący się na sznury jedwabne przyozdobiony jest haftem którego połowę deseniu w naturalnej wielkości przedstawia Fig. 58. Haft wykończony jest jedwabiem czarnym ściegiem łańcuszkowym, płaskim i sutaszem. Ten rodzaj haftu może być zastosowany do chustek, szalów, paletotów vêtement i t. p., odrabia go się jedwabiem koloru tła, cieniowanym lub kolorowym.

N. 18. Fartuszek z napierśnikiem. Deseń wyszycia Fig. 59.

Za materyał służy cienkie płótno écru; brzegi fartuszka obłożone są płótnem granatowem, wyciętem do środka w ząbki i wyszytem sutaszem podług Fig. 59. Sutasz może być biały lub écru; przy napierśniku nie ma wyszycia tylko obłożenie.

N. 19. Kosz z przykryciem. Deseń na arkuszu Fig. 28.

Rycina 19 przedstawia koszyczek pleciony z biało lakierowanej trzciny, przysłonięty zwierzchu pięknie haftowanem przykryciem z niebieskiej materyi na białej podszewce. Z brzegów dany szlak z białego sukna 6 cent. szeroki, wycięty w ząbki i ozdobiony haftem ściegiem luźnym; na środku wyhaftowany wielki monogram otoczony girlandką.



N. 1. Ubranie małej dziewczynki. N. 2. Ubranie spacerowe jesienne. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 37—39-a.

N. 20—21. Sukienka princesse i kaftanik bez rękawów dla dziewczynki lat 9—11. Krój na arkuszu N. III i IV, Fig. 9—20.

Wykończenie sukienki nie wymaga szczegółowego opi-

su; sukienkę i kaftanik bez rękawów kraje się i dopasowywa podług wskazanej formy. Przybranie stanowią plisowane falbaneczki 10, 6 i 3 cent. szerokie, plisy z wypustką 3 cent. szerokie, guziczki kamienne i kokardy z wstążki repsowej 5 cent. szerokiej.

N. 22. Mitenki do wizytowego ubrania. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 57 i 23-26.

Zamiast siatkowych mitenek zaczynają wchodzić w modę szyte z jedwabnej grenadyny czarnej lub kolorowej odpowiednio do sukni. Fig. 57 załącza krój rękawiczki w jednym ciągu z wielkim palcem; materyał składa się prosto wzdłuż bocznego złożenia, szwy od 23—24 i od 25—26 są dane od spodu i zabezpieczone z wierzchu szwem krzyżowem. Pod spodem aż do dłoni dane rozcięcie podszyte od spodu listewką 1 cent. szeroką, które zapina się na kilka guziczków. Koronka i wszywka naszyta jest podług wzoru; kokarda z wstążki $2^1/_2$ cent. szerokiej.

N. 23. Szlak wyszyty krzyżykami.

Szlak ten można wyszyć kolorową bawełną na bieliźnie stołowej, ręcznikach, serwetkach z kanwy Jawa i t. p.

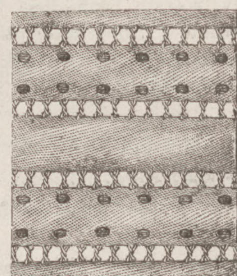
N. 24. Kwiatki koronkowe w rodzaju trina di lana.

Odpowiednie do przyozdobienia krawatek lub t. p., odrabiają się na papierze, odznaczając najpierw kontury ściegiem łańcuszkowym a środki zapełnia się ściegiem koronkowym. Kwiatki takie mogą być pojedyńczo naszyte na końcach krawatek, lub też naszyte odpowiednio zastąpić mogą pasmanterye.

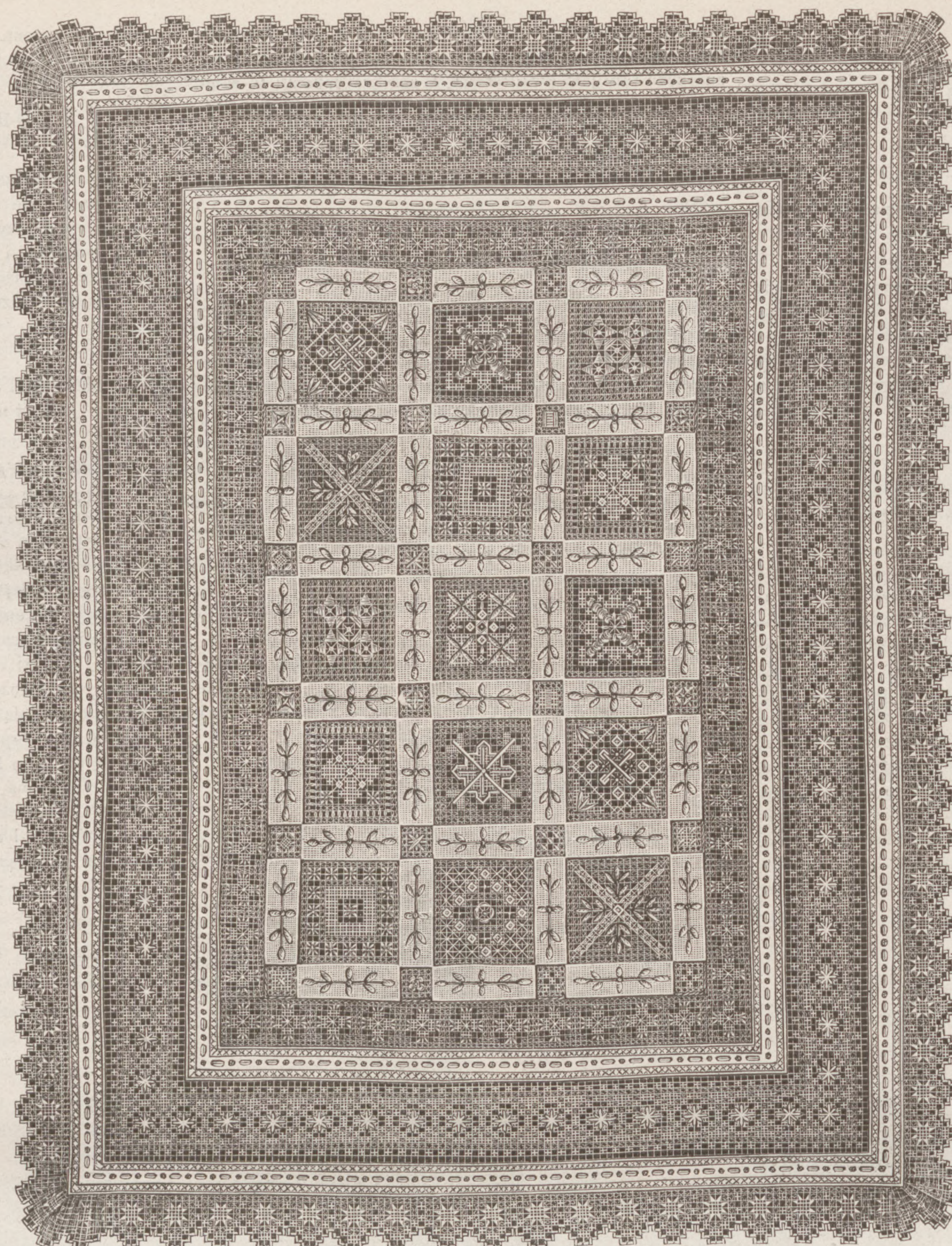
N. 26—27. Sukienka princesse z przybraniem à la breton, dla dziewczynki lat 4—6. Krój i deseń na arkuszu N. X, Fig. 41—47.

Sukieneczka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 26—27 odrobiona z granatowego kaszmiru ma dodane wzdłuż przodu bretońskie ubranie z plisowanej materyi. Szlaki naszywają się podług ryciny; na Fig. 47 podajemy wzór haftu luźnym ściegiem, kolorową włóczką. Pierwszą część przodu załączoną na Fig. 41 układa się na podszewce i dopełnia szlakiem przyszytym podług ryc. 26; z jednego brzegu tej części dana pod szlakiem kryta listewka z dziurkami do zapinania na guziczki, z drugiej strony część ta łączy się szwem z drugą częścią przodów Fig. 42 i zachodzi aż do *a*. Fig. 43 daje formę przedniego boczka; tylny boczek przykrojony tylko na długość stanika z baskiną (Fig. 44) dopełniony jest u dołu częścią fałdowaną, dodaną podług ryc. 27, której przyszycie od h—f przysłania kieszonka.

Dla braku miejsca daliśmy na formie tylko część szerokości fałdowania resztę dodać trzeba w kierunku strzałki o tyle ażeby każda połowa pleców liczyła u dołu po 45 cent. Na środku pleców u dołu wystająca szerokość składa się w fałdę, podług punktu i krzyżyka oznaczonego na Fig. 45.



N. 5. Szlaczek do kołnierzyka.

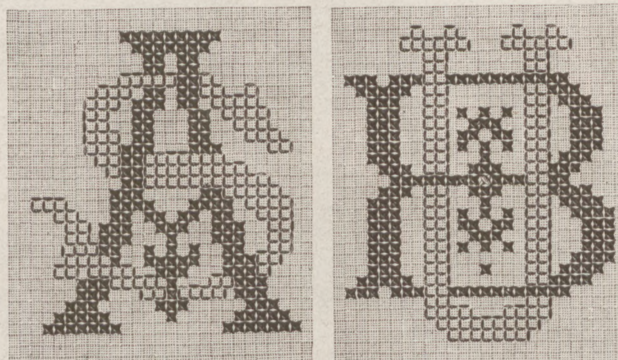


N. 3. Kapa z siatki gipiurowej i haftowanych pasków płóciennych. Patrz ryc. 4.

N. 4. Pasek z haftem i kratką z nitek wyciągniętych, do ryc. 3.



N. 8. Ręcznik z haftowanym szlakiem. Patrz Fig. 26—27 na arkuszu.



N. 6—7. Monogramy wyszyte krzyżykami i ściegiem w kwadraciki.



N. 10. Poszewka z haftowanym obrębem. Patrz Fig. 31 na arkuszu.



N. 11—12. Dwie poszewki ze szlakiem wyszytym krzyżykami.

N. 28—30. Fartuszek formą sukienki, dla dziecka do lat 2. Krój na arkuszu N. V. Fig. 21—34.

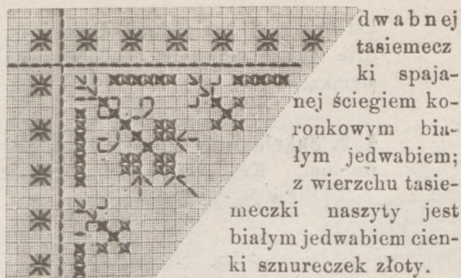
Biały batyst, muślin, perkal, płótno, lub materyał w paski ażurowe odpowiedni jest na taki fartuszek który zupełnie zasłania sukienkę i jeśli jest z cieniutkiego materyału to ładnie odbija na kolorowej sukience. Łatwy i prosty krój podają Fig. 21—24, na długość dopełnia go skośna marszczona falbanka, 8 cent. szeroka, ozdobiona wszywką lub szlaczkiem. Rycina 30 załącza wzór niezmiernie łatwej wszyweczki robotą szydełkową ze sznureczkiem przerabianym wypukło. Plecy przykrojone podług Fig. 24 złożone są w pięć fałdek po 1 cent. szerokich a 21 długich, na które przy krajaniu trzeba naddać 12 cent. w szerz, oprócz założenia pod guziki i dziurki; pierwsza fałdka odznaczona jest linijką na formie. Na szwie łączącym przód z bokami wpuszczone są szarfy po 65 cent. długie a 10 szerokie, w miejscu oznaczonem gwiazdką i dwukropkiem. Rycina 28 przedstawia batystowy fartuszek ozdobiony na szwach szlaczkiem wyszytym krzyżykami, kolorową bawełną.

N. 31. Suknia z długim stanikiem. Krój stanika na arkuszu N. VII, Fig. 33—36-a. Fig. 29 załącza wzór liścia koronkowego, kończącego krawatkę.

Na pojedyńczych częściach formy (Fig. 33—35) podającej krój vêtement, odznaczone są linią kropkowaną brzegi baskiny długiego stanika, przedstawionego na ryc. 31. Jest on wykończony z dwojakiego materyału, to jest stanik z jasnego a rękawy, kamizelkowe obłożenie wzdłuż przodów, wykładany kołnierz i krawatka z ciemnego. Koronkowe zakończenie krawatki odrobione podług Fig. 29 z je-



N. 9. Ręcznik z haftowanym szlakiem.



dwabnej tasiemeczki spajanej ściegiem koronkowym białym jedwabiem; z wierzchu tasiemeczki naszyty jest białym jedwabiem cienki sznureczek złoty.

N. 32. Vêtement z przybraniem odznaczającem kaftanik. Krój jak do ryc. 3 w N-rze 31 Tygodnika Mód.

N. 14. Narożnik do kołnierzyka.

Ubranie to wykończone jest z grenadyny gładkiej i w pasy, ta ostatnia brana jest skośno. Wykrój szyi kwadratowy z przodu, ogarnirowany b i a ł ą crêpe-lisse, koronką i plisowaniem z gładkiej grenadyny. Pół-długie rękawy przybrane odpowiednio do wykroju szyi szerszemi falbankami i koronką. Kokardy z wstążki repsowej koloru sukni lub odmiennego; mitenki podług ryciny 22.

Opis do N. 41.

N. 1. Kapelusz jesienny, ubrany piórami. Przód na ryc. 22.

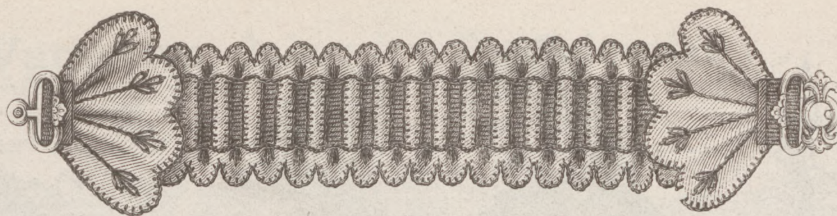
Wygięte rondo białego filcowego kapelusza, podszyte jest gładko od spodu czarnym aksamitem; skośny, 7 cent. szeroki kawałek aksamitu, opasany w koło główki i ułożony z tyłu i z boku na kokardy. Dwa duże strusie białe pióra z boku przypięte pod kokardą przechodzą p r z e z wierzch rondka do spodu.

N. 2. Kapelusz bez główki.



N. 20. Ubranie dla panienki lat 9—11. Krój na arkuszu N. III, Fig. 9—14, i N. IV, Fig. 15—20-a.

Rondko kapelusza mające z przodu 6, z tyłu 4 cent. wysokości, 56 brzeżnej a 42 górnej objętości, robi się ze sztywnego, podwójnie danego tiulu i cienkiego druciku, a główki nie daje się wcale. Rondko prawie zupełnie w górę podniesione oszywa się drutem i obejmuje pliską czarną aksamitną lub repsową $^3/_4$ cent. szeroką; z wierzchu pokrywa go koronka ułożona w fałdy $^1/_2$ cent. szerokie, wystająca trochę nad brzeg. Girlanda z liści bluszczu i kolorowych goździków przedzielana bufkami z tiulu i kokardami ze wstążki 6 cent. szerokiej, ułożona na 3 cent. szerokim a 30 cent. długim, drucikiem objętym kawałku tiulu, przyczepia się do górnego brzegu rondka, które otacza w koło. Takie kapelusze służą na koncerta, wizyty, lub do teatru.



N. 13. Podwiązka sukienna. Patrz Fig. 30 na arkuszu.



N. 17. Fartuszek zdobny haftem. Deseń na arkuszu Fig. 58.



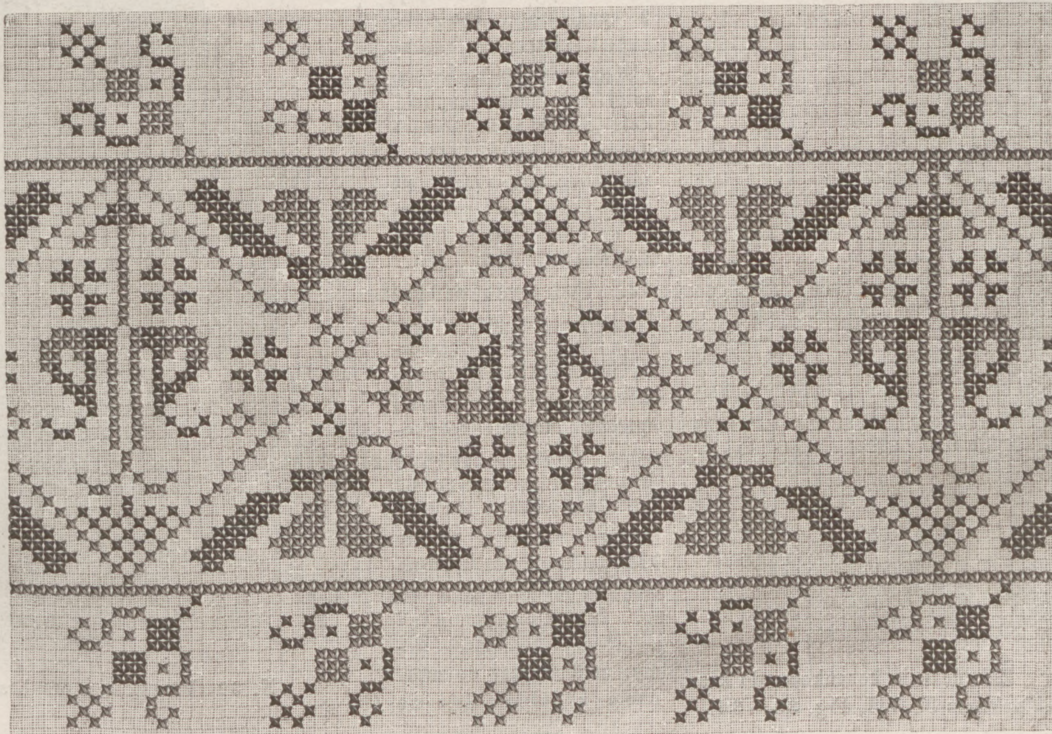
N. 16. Paletot skośno zapinany. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—7-a.



N. 19. Koszyczek z haftowanem przykryciem, Deseń na arkuszu Fig. 28



N. 22 Mitenki do wizytowego ubrania. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 57, 23—26.



N. 23. Szlak wyszyty krzyżykami, do ręczników i t. p.

N. 18. Fartuszek z napierśnikiem. Deseń wyszycia sutaszem podaje Fig. 59.

N. 3. Paletot skośnie zapinany. Opis przy ryc. 16 w N. 40, Krój N. I, Fig. 1—7 na arkuszu z formami.

N. 4. Woreczek haftowany, na robotę na drutach. Krój i deseń na dodatku N. VI, Fig. 25.

Woreczek składa się z 6 kwaterek haftowanych kolorowemi jedwabiami, na kaszmirze albo materyi i zeszytych wzdłuż ze sobą, z podszewką lub bez podszewki. Model haftowany był na burecie piaskowym, ściegiem sznureczkowym, kolorowemi kordonkami, i przybrany jedwabnemi wypustkami i kokardami z wstążki bronzowej.

N. 15. Narożnik do kołnierzyka.

N. 5. Suknia przybrana gipiurą siatkową.

Koronka siatkowa 4 i 6 cent., i wstawka 9 cent. szeroka, złożona ze spajanych ze sobą kwadratów, robiona z dość grubych, niewarowych nici, stanowi strojne przybranie ciemno-zielonej kaszmirowej sukni. Spódnica z trenem oszyta z przodu jedną, z tyłu dwoma plisowanemi falbankami. Długie vêtement formą princesse, z tyłu ułożone w sposób wskazany na ryc. 34 w N. 34 Tygodnika, albo podług ryc. 17 w N. 28; ma odznaczony z p r z o d u wstawką i koronką, długi paletocik zapięty na guziki. Takąż wstawką i koronką oszyty dół i brzegi tylne vêtement. Mankiety mają 17 cent. wysokości, kołnierz maryarski zapięty z przodu kokardą z tego co suknia materyału, na 17 cent. środkowej długości. Desenie do cerowania gipiurowej wstawki i koronki znajdują się w poprzedzających N-rach Tygodnika.

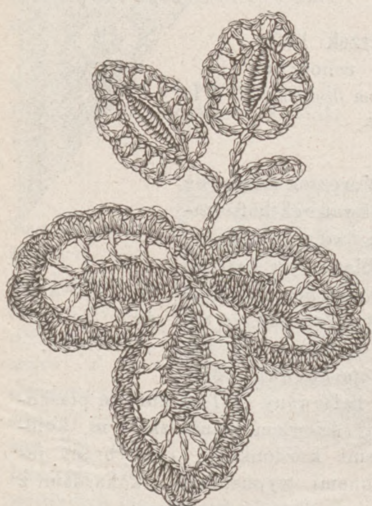


N. 21. Ubranie dla panienki lat 9—11. Patrz ryc. 20.

N. 6. Ubranie z vêtement zapinanem z tyłu. Krój N. VII, Fig. 33—36.

Ubranie z blado niebieskiego kaszmiru, garnirowane jest drobno plisowanemi falbankami, pod które podaje się dwa centymetry wystające plisowanie z muślinu. Vêtement oprócz tego zdobi wstawka koronkowa lub z siatki gipiurowej, naszyta na plisce kaszmirowej i zręcznie upięte z tyłu sznury i kwasty jedwabne. Formę vêtement przedłuża się u dołu podług miary podanej na zmniejszonym rysun-

ku Fig. 33-a—35-a. Zbywającą długość pleców, zakłada się przy zeszyciu z boczkami, w dwie fałdy widoczne na ryc. 6 a zbywającą szerokość przy spięciu pleców zakłada się także w fałdy do spodu. Na Fig. 36 podajemy półdługi rękaw, któren do żądanej miary przydłuża się garnirunkiem.



N. 24. Listek koronkowy (trina di lana).



N. 26—27. Sukienka princesse ubrana à la breton, dla dziewczynki lat 4—6. Krój na ark. N. X, Fig. 41—47.

N. 7. Kwadrat z siatki gipiurowej, cerowany nićmi cienkiemi, a wywodzony podwójną, grubą płaską nicią.

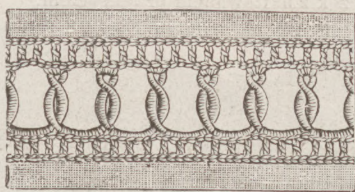
N. 8. Gorsecik z ramiączkami do prostego trzymania się, dla panienki lat 11—13. Krój N. XI, Fig. 48—56.

Niedorosłe panienki często lubią trzymać się pochyło, dla takich potrzebne są ramiączka czyli paski, zmuszające do prostego trzymania; gdy nie zachodzi tego potrzeba można gorset uszyć bez ramiączek. Plecy gorseta krają się z podwójnego materyału i przestębnowują wzdłuż aż za wcięcie stanu, do wsunięcia fiszbinów, w sposób wskazany na ryc. 8. Boczki i przody krają się pojedyńczo, a na dwa fiszbiny podszywa się tasiemkę.

Przy krajaniu gorseta trzeba bardzo uważać na wskazany na formie bieg nitek podłużnych, a przy zeszywaniu części gorseta wszywaniu ćwikli i klinów prostych i zachować jaknajwiększą akuratność. Do ramiączek przykrojonych podług Fig. 55, przyszywa się kawałki 5 cent. długie taśmy elastycznej 2 cent. szerokiej, a za nią pasek podwójny, 9 cent. długi z tego co gorset materyału; ażeby można było ramiączka ciaśniej lub luźniej zapinać, dają się w tych paskach dziurki i haftki. Przed zapięciem przewłóczy się paski przez uszy przyszyte do pleców w miejscu oznaczonem liczbą 21—22. Pod pachę dane są podpórki stalowe półkoliste z miękką poduszeczką pokrytą skórą, przymocowane do stalowej sprężyny także skórą obszytej, która za pomocą śrubek może się wznosić lub opuszczać. Końce sprężyn wkładają się do kieszonek, przyszytych na ten cel do gorseta u dołu. Model odrobiony był z mocnej popielatej dymy, pod brykle do zapinania z przodu daje się listwy z mocnego płótna. Brzegi wszędzie objęte kolorową stębnowaną tasiemką.



N. 28—29. Fartuszek formą sukienki. Krój na arkuszu N. V, Fig. 21—24.

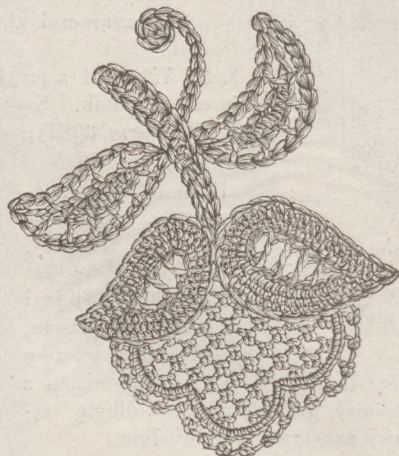


N. 30. Wszywka do ryc. 28.



N. 31. Suknia ze stanikiem z baskiną. Zakończenie koronkowe do krawatki podaje Fig. 29. Krój stanika na arkuszu N. VII, Fig. 33—36.

N. 9. Suknia suto garnirowana plisowaniem. Krój stosowny ryc. 23—24 w N. 32 Tygodnika.



N. 25. Listek koronkowy w rodzaju trina di lana.

Suknia z miękkiego, gładkiego, alzackiego materyału, miała falbanki drobno plisowane, oszyte wąziutką koroneczką, które przy spódnicy miały 7, a przy vêtement wraz z nagłówkiem 10 cent. szerokości. Pod nagłówkiem przyszyta była szeroka koronka spadająca na plisowanie. Vêtement składa się tylko z czterech części pleców i z przodów; te ostatnie u dołu nad plisowaniem założone są w trzy poprzeczne, 3 cent. głębokie fałdy, na które dodaje się w krajaniu po 18 centymetrów. Wzdłuż przodów spięcie vêtement przykrywa plisowanie wachlarzowo ułożone, przepinane puklami ze wstążki. Plecy związane są za pomocą tasiemek do tyłu, w środku podpięte w poprzeczną, 5 cent. głęboką kontrafałdę, a z boków przy zeszyciu z przodami założone w drobne fałdy, które założyć trzeba na osobie. Garnirunek z jednego boku sięga do połowy długości i zakończony jest w górze kokardą ze wstążki w dwóch cieniach.

(d. n.)



N. 32. Vêtement z przybraniem odznaczającem kaftanik.